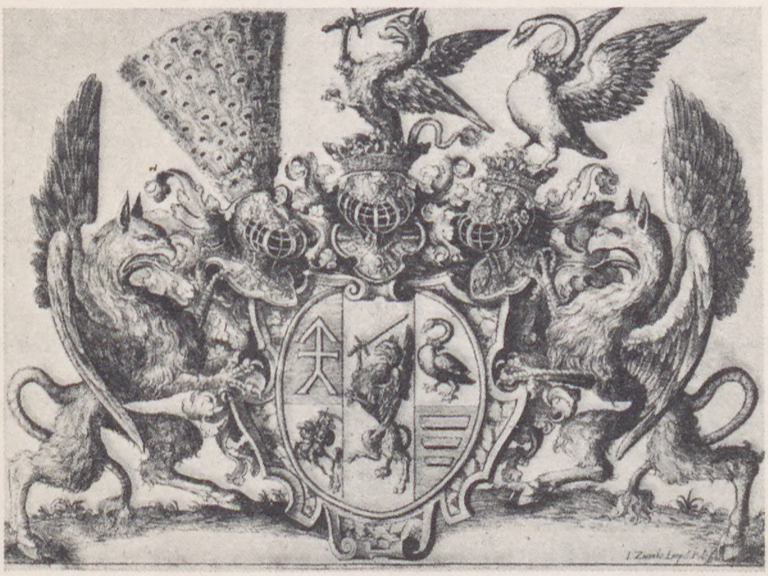
HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POSWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I CZERWIEC 1946 NR 6

SUISSE SZWAJCARIA SCHWEIZ



SPIS TREŚCI

Na okładce reprodukcja sztychu Jana Ziarnki
„Ex-libris aux armes de Chodkiewicz"

Klisze reprodukcyj dzieł grafików polskich zostały wykonane z książek i czasopism:
Katalog Działu Sztuki. Pow. Wystawa Kraj. 1929, Poznań
Alfred Kuhn, Die polnische Kunst, 1930, Berlin
La Pologne et la France, Wyd. Bibl. Pol. Paryż
Franciszek Siedlecki, Grafika polska, 1927 Warszawa
Sztuka i Praca, Listopad, Rok 1928.

Redakcja: Fribourg, Suisse, Case postale 247, Téléphone 2.18.92.
Compte de chèques postaux II a 3219.

HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I CZERWIEC 1946 NR 6

Jerzy Jankowski (Francja)

TRZEBA WYJŚĆ Z GHETTA

Francuska Assemblée Constituante przystąpiła do debaty nad deklaracją praw człowieka i pracownika, do ustalenia podstawy ideologicznej, na której oprze się budowa nowej Francji w powojennej, tak bardzo zmienionej Europie. Zmienia się nie tylko ustrój, ale także podstawa ideowa i myśl przewodnia kraju, który był uważany przez świat za kolebkę wolnego człowieka i obywatela. Utrwalają się w tekście konstytucyjnym IV-ej Republiki inne pojęcia o prawach i obowiązkach wobec państwa, niż te którymi zwykła myśleć i rozumować dotychczas większość Polaków. Francja znajduje się dziś na zakręcie, kiedy może zmienić się oblicze kraju, z którym dotychczas Polska tak silnie była związana właśnie w dziedzinie idei podobnym odczuwaniem wolności i swobód. Nie znały one ograniczeń geograficznych, wybiegały poza granice jakiegoś kraju czy państwa. Od Mazurka Dąbrowskiego (»Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy...«) aż po »Warszawiankę« (»W tęczę Franków Orzeł Biały patrząc lot swój w niebo wzbił...«) polska pieśń niepodległościowa mocno nawiązywała właśnie do francuskiego ideału wolności. Konstytucja Rzeczypospolitej była wiernym odbiciem nie tylko francuskich pojęć prawnych, ale i francuskiego pojęcia wolności człowieka, które dzięki swojej uniwersalności przekroczyło we wszystkich kierunkach granice Francji. Przykłady tego rodzaju można by mnożyć w nieskończoność.

Zapytajmy teraz, kto z Polaków obserwuje z bliska i zastanawia się nad fundamentalnymi przemianami, dokonywującymi się na naszych oczach w strukturze prawnej — a zwłaszcza ideologicznej kraju, który przez wieki uważaliśmy nie tylko za naszego sprzymierzeńca, ale i za nasz duchowy odpowiednik w Europie? Bez dużej pomyłki możemy stwierdzić, że nikt spośród tych, którzy mogliby podzielić się swoimi obserwacjami i wnioskami z ogółem naszego narodu. Można mieć takie czy inne zdanie o składzie czy trwałości politycznej jakiegoś zgromadzenia lub parlamentu, ale nie wolno ludziom umiejącym myśleć politycznie lekceważyć waloru idei, które — jeśli są ogólno ludzkie — trwają przez wieki i są niezmiernie zaraźliwe. Projekt Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, złożony przez generała La Fayette 11 lipca 1789

roku w atmosferze rewolucyjnej nietrwałości i przejściowości, stał się na półtora wieku kanonem dla ludzi wolnych całego świata — mimo wojen, zmian rządów a nawet praw. Wyszła z niepewności rewolucyjnej doktryna bolszewicka, która jest zaprzeczeniem wolności człowieka i obywatela, zdołała się rozpowszechnić dzięki temu właśnie, że ją początkowo w świecie zlekceważono, a ci, którzy szybko przekonali się o jej możliwych skutkach — Polacy, nie mieli dostatecznie mocnego głosu w międzynarodowej wspólnocie duchowej świata.

Dlaczego nie słuchano nas w latach, które nastąpiły po poprzedniej wojnie? Dlaczego dziś nie interesujemy się tym, co się dzieje we Fracji i gdzie indziej w dziedzinie ogólno-ludzkich przemian strukturalnych i ideowych? Nie dlatego bynajmniej, że wówczas byliśmy słabi, a dziś jesteśmy pobici. Dzieje się to dlatego, że my Polacy — a Polacy za granicą w szczególności — mamy tendencję do zamykania się w ghetto polskim, do interesowania się wyłącznie własnymi sprawami, do sądzenia, że we własnym zakresie załatwimy wszystkie nasze kłopoty i bolączki. To nie jest bynajmniej przejaw naszego nacjonalizmu! To jest wyraz naszego defenzywnego stosunku do zagadnień, to wyraz niewiary w siły duchowe naszego narodu, w jego możliwości wniesienia czegokolwiek do wspólnoty ogólno-ludzkiej.

We wspaniałym i wzruszającym serce każdego Polaka wykładzie p. t. „Literatura polska a życie“ przedstawił w roku 1916 Stefan Żeromski, dlaczego nasza wielka literatura nie jest — poza wyjątkami — znana szerokiemu światu, mimo iż inne narody, mniejsze i może duchowo mniej zasobne niż my, potrafiły udostępnić obcym swój dorobek piśmienniczy. Przyczynę zasadniczą widział Żeromski w tym, że literatura polska była pisana wyłącznie dla Polaków i nie poruszała zagadnienień interesujących człowieka mieszkającego na zachód od Poznania lub na wschód od Lwowa. Literatura polska żyła w ghetto. Dziś wróciła tam ponownie! Kiedyś bodajże Karol Zbyszewski napisał dowcipnie, że literatura polska pierwszych lat wojennych mogłaby się ukazać pod wspólnym tytułem: „Jak uciekałem“. Dorobek następnych paru lat mógłby mieć chyba tytuł: „Jak nas bili i oszukiwali wrogowie i sprzymierzeńcy“. I to wszystko w 95% na użytek swoich, żeby się pławili we własnej polskiej krzywdzie, żeby ich gorycz zżarła do reszty, by się stali niezdolni do końca życia do szerszego na świat spojrzenia, do twórczej pracy i do powiązania własnej walki o Polskę z myślą i wysiłkiem innych narodów.

W jednej tylko dziedzinie byliśmy ponad miarę, a niekiedy i ponad potrzebę, wciągani w wir międzynarodowego życia: tam, gdzie chodziło o śmierć. Gdy trzeba było nadstawiać karku za sprawy, które w ogólnym wyniku nie przynosiły Polsce nic poza nową stratą tysięcy jej synów, wówczas znajdowaliśmy piękną formułę międzynarodowego, lecz jakże jednostronnego braterstwa: „Za naszą wolność i waszą“. Kiedy jednak przekształcało się oblicze społeczne i ideowe współczesnego świata, kiedy rodziły się prawa człowieka pracy — wówczas jako naród byliśmy tragicznie nieobecni. Jeśli tu i ówdzie znalazł się Polak współdziałający w dziale postępu społecznego — występował on najczęściej we własnym imieniu i wśród zupełnej obojętności swoich ziomków.

Jeżeli Tadeusz Kościuszko zajmuje tak poczesne miejsce w naszej historii — to przypomnieć sobie winniśmy, że to nie jego zasługi wojenne, nie nawet udział w walce o wolność innych, są tego przyczyną. Jeżeli sława Kościuszki

przewyższyła sławę Bema, Mierosławskiego, czy innych generałów wsławionych na obcych ziemiach — stało się to dlatego, że Tadeusz Kościuszko jest nie tylko zwycięzcą spod Racławic, ale także człowiekiem, który podpisał Uniwersał Połaniecki i potrafił rzucić do walki o Polskę masy chłopskie. Do Ameryki wyjechał Kościuszko jako zdolny i bitny generał. Wrócił stamtąd do kraju jako członek wielkiej wspólnoty ludzi wolnych, godny reprezentant grona, które wydało Washingtona i La Fayetta. Gdyby Curie-Skłodowska zabrała się we Francji do wykładania chemii na polskich kursach dokształcających i do pisania w polskich gazetkach o tym, jak to Rosjanie uniemożliwili jej pracę naukową; gdyby Chopin ograniczył się do grywania na koncertach dobroczynnych dla rodaków, gdyby Henryk Sienkiewicz w bretońskim Tregastel nie pisał ogólno-ludzkiej powieści „Quo vadis“, ale następny tom „Pana Wołodyjowskiego“ — nie było by nazwisk, na które z dumą lubimy się powoływać. Wszyscy oni umieli wyjść poza rodzime ghetto i dlatego, stając się obywatelami świata, zostali jednocześnie wielkimi Polakami, lepiej Polsce służącymi, nawet z poza grobu, niż niejeden łzawo-patriotyczny trybun. Rola, jaką w kraju naszym odegrała Polska Partia Socjalistyczna, była i jest dlatego tak wielka, że grono takich jak tysiące z nas emigrantów politycznych na ziemi francuskiej potrafiło włączyć się do światowego nurtu ideowego, który podjął walkę o prawa człowieka pracy i przebudowę społeczną.

Jeśli więc dzisiaj zastanawiamy się nad przyczyną naszych porażek przy dyplomatycznych stołach po krwawych zwycięstwach pod Monte Cassino, Tobrukiem, Narwikiom czy Falaise, oraz nad zadaniami, które stoją przed nami jako członkami narodu walczącego jak może żaden inny o prawo do samodzielnego bytu — musimy dojść do jednego wniosku: dalsze ograniczanie naszych zainteresowań do spraw wyłącznie polskich, zwłaszcza gdy żyjemy i działamy wśród obcych, gdy podlegamy obcym prawom, czy nam się to podoba lub nie, gdy pragniemy narody Europy i świata zainteresować naszym losem i naszą walką, jest dzisiaj nie do pomyślenia. Wybory w takim czy innym kraju, zmiana rządów, nowe ustawodawstwo i t. p. — to nieraz kwestia bytu czy niebytu naszej emigracji, to strata lub zdobycie nowego sprzymierzeńca dla sprawy polskiej. Współudział Polaków przy tworzeniu się nowej idei, nowych prądów społecznych i nowych doktryn, to większa gwarancja dobrej roboty dla Polski i dla emigracji (tak, również dla emigracji, jeżeli ma ona być traktowana inaczej jak gromada „czarnoroboczych“!) — niż śpiewanie „Roty“ i wysyłanie pompatycznych i pełnych oburzenia protestów.

Są ludzie, i to nierzadko zajmujący czołowe stanowiska, którzy uparcie głoszą, że jedynym sposobem uchronienia emigranta od wynarodowienia jest utrzymanie go w hermentycznie zamkniętej sferze zainteresowań wyłącznie polskich. Byłoby to niestety możliwe wówczas, gdyby zwolennicy tej tezy potrafili jednocześnie odseparować się od miejscowych warsztatów pracy. Ponieważ jednak w życiu codziennym Polak na emigracji spotykać się musi z mieszkańcami kraju, w którym żyje, ponieważ musi z nimi załatwiać szereg najbardziej dla niego istotnych spraw i zagadnień — okazuje się po pewnym czasie, że atrakcyjność polskiego środowiska maleje na rzecz otoczenia miejscowego. Dzieje się to po prostu z tej przyczyny, iż strona polska daje Polakowi za granicą wyłącznie przeszłość lub tragiczną stronę narodowej rzeczywistości. Obcy uczą emigranta o prawach mu przysługujących, o możliwościach zmian

w sytuacji, w której on żyje i pracuje. Obcy mówią mu wreszcie o nowych ideałach ogólno-ludzkich, przekraczających granice jednego kraju, choćby nawet kraj ten był Ojczyzną.

Dopóki więc robotnik polski za granicą będzie na zebraniach organizacji narodowych śpiewał „Z dymem pożarów“ i „... nie będzie Niemiec pluł nam w twarz“ oraz słuchał przemówień o męczeństwach Sybiru i ofiarach Narwiku — zaś na zebraniach swego fabrycznego syndykatu nie tylko dowiadywał się o swoich prawach do świadczeń socjalnych, lecz także i o nowych prądach postępu społecznego, które idą przez świat — dopóty istnieć będzie niebezpieczeństwo wynarodowienia emigracji. U podstaw tego niebezpieczeństwa tkwić będzie krótkowzroczność tych spośród kierowników spraw polskich, którzy usiłują życie polskie na obczyźnie i walkę o Polskę prowadzić metodami już za czasów Wielkiej Emigracji przestarzałymi. Stwarzają oni bowiem przekonanie, że środowisko polskie jest ostoją tego, co konserwatywne i martwe, co zatrzymało się w swoim rozwoju. Tego, co postępowe i żywe, emigrant nasz musi szukać wśród obcych. Ponieważ jedną z faz i nieodzownym warunkiem wynarodowienia jest zagubienie atrakcyjności środowiska narodowego — strzeżmy się, by własnymi rękoma nie wypychać zwłaszcza młodego pokolenia poza zasięg spraw polskich właśnie dlatego, że w polskich gazetkach i na zebraniach polskich organizacyj emigrant będzie starannie odgradzanym od tych palących problemów ogólnych, które niesie życie — a wobec których on sam musi niejednokrotnie zająć stanowisko. Nie pozwólmy, by właśnie obcy kształtowali społecznie Polaka za granicą i udostępniali mu poznanie tych idei ogólno-ludzkich, od których jego przwódcy narodowi odwracają się z wyniosłą obojętnością.

Wielką rolę w praktycznym rozwiązaniu interesującego nas zagadnienia odegrać może prasa polska za granicą. Jeżeli chce ona zdobyć wpływ na społeczeństwo, jeżeli chce wypracować sobie podstawy do samodzielnego bytu materialnego, nie może oddzielać się murem od tego, co się dzieje na szerokim świecie. Wówczas bowiem zejdzie do roli „prasy uzupełniającej“, na którą czytelnicy nie mają czasu, a częściej jeszcze pieniędzy.

Fakt ten zrozumiała dobrze prasa polska w Stanach Zjednoczonych. Jej obecne oblicze jest wynikiem nie tylko tego, że Polacy amerykańscy są obywatelami kraju, gdzie mieszkają i gdzie dzisiaj jest już coraz mniej praw, obowiązujących wyłącznie obywateli. Oblicze to jest przede wszystkim odbiciem zdrowego sensu kierowników polskiego życia w Ameryce. Dlatego też tamtejsi Polacy przestali już cierpieć na kompleks niższości wobec swego otoczenia.

Przyszłość narodu polskiego, a w szczególności przyszłość emigracji, zależeć będzie w dużej mierze od tego, czy staniemy się grupą podążającą za postępem czasu, czy stać nas będzie na wnoszenie do kultury ogólno-ludzkiej wartości twórczych. Jeżeli wejdziemy na tę drogę uratujemy naród od wielu grożących mu klęsk, a przede wszystkim od tego, co się najbardziej mści na losach narodów: od powszechnego zapomnienia. Wówczas dopiero staniemy się cenni, bo potrzebni nie tylko wtedy, gdy trzeba kogoś wysyłać na rzeź.

Aby zrobić w tym kierunku pierwszy, decydujący i zasadniczy krok — trzeba przede wszystkim w y j ś ć z g h e t t a.

Tadeusz Jaraczewski (Szwajcaria)

Zamorskie tereny osiedleńcze polskie

1. „Prawo“ dopuszczenia obcokrajowca na terytorium państwa a dzisiejsze ograniczenia.
2. Stany Zjednoczone, największy ośrodek emigracyjny polski.
3. Kanada a polskie wychodźstwo.
4. Brazylia oraz polskie możliwości osadnicze w Paranie.
5. Argentyna, Urugwaj i Paragwaj — cel emigracji polskiej w okresie dwudziestolecia niepodległości.
6. Australia i Afryka Południowa, najmłodsze polskie ośrodki zamorskie.
7. Uwagi końcowe.

1. „Prawo“ dopuszczenia obcokrajowca...

„Prawo“ dopuszczenia obcokrajowca na terytorium państwa jest w dzisiejszych czasach przedmiotem sporów wśród specjalistów prawa międzynarodowego oraz polityków: jedni uważają, że w myśl ogólnoludzkich zasad demokratycznych prawa tego nie należy nikomu odmawiać, drudzy opowiadają się raczej za oddaniem w ręce państwa decyzji o dopuszczeniu czy niedopuszczeniu obcokrajowców do kraju. Stąd spotykamy w praktyce dwie tendencje: z jednej strony „wolnościowe“ ustosunkowanie się do tej sprawy, z drugiej zaś dążność zwana „reglamentacyjną“ czyli ograniczającą prawo osiedlania się obcych.

Nie jest dziś tajemnicą, że już przed obecną wojną druga tendencja zaczęła zwyciężać. Jedynie nieliczne państwa, wśród których wymienić należy kraje Ameryki Południowej, przyjmowały jako założenie swej polityki liberalizm w sprawach emigracyjnych. Zacytujemy tu klasyczny przykład wolnościowy, jaki wyrażony został jeszcze w Konstytucji argentyńskiej z roku 1853, która przyznawała wyraźnie „wszystkim ludziom świata, pragnącym zamieszkać na ziemi argentyńskiej, prawo wejścia, zamieszkania, podróżowania i opuszczania kraju“ (art. 14).

Dzisiaj ograniczenia emigracyjne mają różnoraki charakter. Na pierwszym miejscu wymienić należy ograniczenia liczbowe. Zapoczątkowane one zostały przez Stany Zjednoczone w tzw. „Dillingham bill“ w roku 1917 (a więc podczas pierwszej wojny światowej), gdzie po raz pierwszy dostęp emigrantów do kraju uzależniony został od liczby. Za przykładem tym poszła niebawem Australia, oddając w ręce władz wykonawczych prawo decydowania o dopuszczaniu obcokrajowców według miesięcznie ustalonych w porozumieniu z rządami związkowymi kontyngentów.

Inne ograniczenia wysuwane dziś przez państwa są natury majątkowej lub dotyczą zawodów. W tych wypadkach dostęp do kraju jest uzależniony od posiadania pewnej sumy pieniężnej („landing money“), która jest konieczna do zakupienia gospodarstwa lub założenia warsztatu pracy, względnie od wykonywania zawodu, uznanego za pożądany z punktu widzenia gospodarczego w kraju i nie zwiększającego istniejącej już konkurencji. Dalej idą ograniczenia co do wieku (celem wyeliminowania dzieci, kobiet lub starców) oraz

ograniczenia fizyczne (co do chorób, zdolności do pracy itd.). Specjalny charakter mają ograniczenia rasowe i narodowe, skierowane w państwach obu Ameryk głównie przeciw zalewowi kolorowemu tj. Japończykom, Chińczykom i Murzynom. W końcu wymienić należy ograniczenia policyjne, tj. uwarunkowanie dopuszczenia na dany teren od posiadania dokumentów (paszportów, wiz), a nadto od wykazania swej dotychczasowej niekaralności i moralnego prowadzenia się.

Jeśli zastanowimy się nad przyczynami ograniczeń emigracyjnych, to nie trudno będzie zauważyć, że z jednej strony działają tu motywy ekonomiczne państwa przyjmującego, t. j. chęć utrzymania na poziomie dotychczasowego stanu gospodarczego państwa oraz obrona przed przeludnieniem i zubożeniem kraju, dalej motywy polityczne t. j. przeciwstawienie się penetracji do kraju obcych elementów, często trudnych do zasymilowania i stwarzaniu problemów mniejszościowych na skutek przewagi liczebnej obcych nad autochtonami. Nie można tu pominąć i motywów eugenicznych (czystość rasy), kulturalnych (niebezpieczeństwa dla narodowych ideałów, mogących ulec majoryzacji przez obcą ludność napływową) oraz kryminalnych (wzrost przestępczości, o ile emigranci rekrutują się spośród „poszukiwaczy przygód“ i „elementów niepożądanych“).

Z tych to powodów państwa przyjmujące wysuwają stałe ograniczenia dopuszczenia obcokrajowców na swój teren. Jedynie kraje o dużych przestrzeniach pustych, jak Ameryka Południowa, mogą pozwolić sobie jeszcze dziś na zamknięcie oczu na niebezpieczeństwa emigracji. Są to bodaj też jedyne na świecie kraje, gdzie nadal zasadą polityki pozostaje owo słynne „gobernar es poblar (rządzić to znaczy zaludniać).

Przebiegnijmy obecnie główne ośrodki osiedleńcze polskie w krajach zamorskich i przyjrzyjmy się pokrótce w ramach, na jakie zezwoli omówienie tych obszernych spraw w granicach skromnego artykułu, niektórym zagadnieniom osiedleńczo-zamorskim, z którymi spotykała się Polska już przed wojną, wyciągając wnioski praktycznie dla czasów obecnych.

2. Stany Zjednoczone

Jeśli mówimy o zamorskich terenach emigracji polskiej, to niewątpliwie jako pierwszy i najbardziej typowy ośrodek nasuwają się Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

O tym przodującym stanowisku Stanów i wprost magicznym działaniu popularnego skrótu USA decyduje zarówno fakt, iż jest to kraj „wszelkich możliwości“ oraz „kraj dolara“, oraz istnienie na tym terenie najliczniejszej dziś kolonii polskiej za oceanem.

Statystyki przed obecną wojną podawały liczbę Polaków w Stanach na 4 miliony czyli ponad 50% wszystkich Polaków za granicą. Chicago było przed wojną drugim największym miastem polskim na świecie, a dziś — wobec zniszczenia Warszawy — jest może i pierwszym, gdyż liczy ponad 600.000 ludności polskiej. Innym skupiskiem Polaków w Stanach jest od dawna Detroit (300.000 Polaków) oraz New York i Buffalo (po 200.000). Najgęstszą dziś ludność polską wykazują stany Pensylwania, Illinois i New York, potem idą Wisconsin, Michigan, Massachussets i Ohio, przed stanem New Yersey, Min-

nesotta i Connecticut. Wystarczy wziąć książkę telefoniczną jednego z wymienionych stanów lub miast, aby przekonać się, jak liczne są tam nazwiska o brzmieniu polskim.

Ważną cechą emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych — obok jej liczebności — jest skład jakościowy. Warstwa inteligencji zawodowej przewyższa tu ilościowo inteligencję polską w jakimkolwiek innym kraju zamorskim, licząc 2% ogólnej liczby Polaków t.j. około 80.000 osób. Inne odsetki są następujące: robotnicy i górnicy 85%, rolnicy 10%, kupcy i handlowcy 3%.

Masowa emigracja polska do Stanów rozpoczęła się stosunkowo późno, gdyż w połowie XIX wieku. Pierwsza polska osada farmerska — jak stwierdza Józef Okołowicz — powstała w roku 1855 w stanie Texas i założył ją ks. Leopold Moczygęba, który przybył tu z grupą emigrantów ze Śląska. Większość pierwszych wychodźców pochodziła z zaboru pruskiego, stąd związki istniejące dziś między Wielkopolską a Polakami w Ameryce są bardzo ścisłe. Początki emigracji polskiej do Stanów Zjednoczonych przypadają na czasy, gdy kraj ten stracił swój rozmach osadniczo-rolny i w szybkim tempie pod wpływem rosnących kapitałów powiększał swe centra przemysłowe. Z tego powodu Polacy, zjawiwszy się na terenie amerykańskim, wytworzyli tu znikomą warstwę farmerów rolnych, osiedlając się w 8/10 ogólnej liczby w okręgach przemysłowych i miastach. Zasadniczym zajęciem emigranta polskiego był zatem od początku przemysł, z którego w Ameryce żyje większa część ludności. Z gospodarczego punktu widzenia robotnik polski nie stanowił konkurencji dla robotnika amerykańskiego, gdyż przejął na siebie najcięższą pracę fizyczną, wykonywaną dawniej przez Murzynów, a pozostawił dla Amerykanów wyższe kwalifikowane zajęcia. Po dziś dzień Polak-robotnik w Ameryce konkuruje jedynie z narodami nienordyckimi, a więc z Włochami, Słowakami, Irlandczykami, a nie z Amerykaninem.

Na tle wzrostu prądów nacjonalistycznych w Ameryce i pogarszania się koniunktury gospodarczej z początkiem XX wieku rosnąć zaczęła w Stanach coraz większa obawa przed emigracją. Pierwszym krokiem w tym zakresie było powołanie komisji emigracyjnej w roku 1907 w celu powstrzymania względnie uregulowania imigracji obcej do Stanów. Rosnąca polityka antyemigracyjna przeszła jednak z teorii do praktyki dopiero w dziesięć lat później t. j. w roku 1917, kiedy przyjęty został „Dillingham bill“. Ustawa ta wprowadziła m. in. obowiązek umiejętności czytania i pisania jako warunek dopuszczenia na kontynent amerykański, czym ugodziła przede wszystkim w narody słowiańskie, a szczególnie Polaków. Był to pierwszy wyraz t. zw. „kierunku nordyckiego“, który zwracał się przeciw narodom Europy środkowowschodniej, jako rzekomo mniej wartościowym.

W roku 1921 prezydent Stanów usankcjonował nową ustawę t. zw. „Quota bill“, która zredukowała ilość rocznej imigracji do Stanów dla poszczególnych państw do 3% liczby, którą reprezentowali w Stanach przedstawiciele danej narodowości w roku 1910, według amerykańskiego spisu ludnościowego z tegoż roku.

W trzy lata później, w roku 1924, „Johnson bill“ obniżył ten odsetek do 2%, przy czym za podstawę obrany został spis z roku 1890, mniej przychylny dla poszczególnych narodowości. Z przypadającej na każdą narodowość ilości (quota) połowa przewidziana jest na dzieci obywateli amerykańskich,

ojców, matki, mężów i żony emigrantów oraz wykwalifikowanych rolników. Poza wymienionymi 2% mają dostęp do Stanów osoby urodzone w Stanach (posiadające metryki urodzenia), reemigranci (posiadający „permit to reenter"), żony i dzieci do lat 21, mężowie obywatelek amerykańskich i rodzice obywateli amerykańskich. Przed obecną wojną, niezależnie od wymienionych kategoryj, mogli uzyskiwać ułatwienia wjazdu studenci, profesorowie wyższych uczelni oraz duchowni, co jednak obecnie nie jest brane pod uwagę. Ciekawe, że bez ograniczeń dopuszcza się dziś do Stanów osoby urodzone w Kanadzie, Meksyku i Ameryce Południowej.

Ta charakterystyka, ilustrująca zwycięstwo kierunku prohibicyjnego w Stanach Zjednoczonych, bynajmniej nie wyczerpuje obowiązujących do dziś ustaw i przepisów emigracyjnych. Przytoczone ustawy są tylko ilustracją zasadniczego kierunku współczesnej amerykańskiej polityki emigracyjnej.

Należy stwierdzić, że emigracja z Polski do Stanów była od początku pozbawiona jakiejkolwiek myśli organizacyjnej ze strony społeczeństwa w Polsce i odbywała się w sposób „żywiołowy". Za czasów zaborów głównym elementem organizującym wyjazdy był niemiecki agent okrętowy, a z pomocą przyszły mu ogólne warunki ekonomiczno-społeczne w Polsce. Po odzyskaniu niepodległości po pierwszej wojnie światowej emigracja odbywała się również bez większego planu ze strony władz. W tych warunkach jest godnym podkreślenia, iż mimo głosów o postępach amerykanizacji wśród Polaków w Stanach, znaczna ich ilość zachowała do dziś głębokie uczucia przywiązania do Ojczyzny. Dowodów na to nie trzeba szukać zbyt daleko — wystarczy wskazać na pomoc organizowaną zarówno pojedynczo jak i zbiorowo przez tamtejszą Radę Polonii Amerykańskiej w najcięższych dla kraju chwilach. Pomoc ta, bardzo wydatna i regularna, była wysoce doceniana przez licznych rodaków pozostających pod okupacją niemiecką.

Jak w obliczu przedstawionych warunków wyglądają dzisiejsze możliwości emigracji do Stanów?

Trudno uważać dziś Stany za kraj, który zlikwidował już całkowicie swą politykę osadniczo-rolniczą. Jest jednak pewne, że problem rolnictwa w tym kraju zeszedł na plan czysto wewnętrzno-ludnościowy. Pozostają w tych warunkach zajęcia robotników przemysłowych, i to niekwalifikowanych, oraz t. zw. wolne zawody, te ostatnie oczywiście w szczupłych ramach polskich. I w tych zawodach widoczne jest jednak znaczne nasycenie. Na jakąś masową emigrację do Stanów wobec ograniczeń kontyngentowych nie można dziś liczyć i osiedlanie w Stanach może się jedynie odnosić do nielicznych „wybranych".

Jest możliwe, iż w odniesieniu do licznej dziś emigracji politycznej polskie organizacje w Stanach mogłyby w tym kierunku rozpocząć akcję w celu uzyskania zezwoleń na wjazd pewnej ilości osób. Z drugiej strony jednak rząd amerykański nie wypowiedział się dotąd co do chęci dopuszczenia pewnej ilości Polaków do Stanów. Pozostaje więc prywatna inicjatywa, która w poszczególnych wypadkach może dać wyniki. Ułatwienia dotyczą dziś w pierwszej linii krewnych emigrantów, przebywających już na kontynencie amerykańskim. Sprawa ta została zresztą w Ameryce rozwiązana podobnie jak w Wielkiej Brytanii, czego dowodzi oświadczenie w parlamencie posła Ede'a z partii pracy (South Shields) z listopada ub. roku (por. The Times z 14. XI. 45).

Według oświadczenia prezydenta Stanów, Trumana, złożonego ostatnio prasie amerykańskiej, kontyngenty wjazdowe do Stanów nie zostały w całości wykorzystane w czasie ostatniej wojny. I tak w roku 1942 tylko 10% dopuszczalnej ilości (quotas) zostało zużytych, w roku 1943 — 5%, 1944 6%, a w 1945 — 7%. Z drugiej strony wiadomo, że w kongresie amerykańskim złożone zostały różne nowe wnioski, mające na celu powstrzymanie lub zredukowanie na przyszłość emigracji do tego kraju.

Warto w związku z tym wspomnieć, że odnośnie przesiedleńców w Niemczech w dniu 3 stycznia jedna z agencyj prasowych podała wiadomość, iż administracja wojskowa transportów morskich zorganizuje dwa transporty miesięcznie z Niemiec do Stanów na rzecz przesiedleńców (displaced persons). Transporty te mają zapewnić co miesiąc emigrację 3900 osób do Stanów. Z cyfry tej 2500 jest zarezerwowane dla osób pochodzenia niemieckiego, a reszta dla Polaków, Węgrów, Rumunów, Jugosłowian i Bułgarów. Liczba wiz przyznanych Polakom, ma nie przekraczać miesięcznie 700.

Należy przyznać, iż inne państwa Ameryki, tak północnej jak i południowej, nie posunęły swych ograniczeń tak daleko, jak Stany Zjednoczone, co zobaczymy poniżej.

3. Kanada

Ktokolwiek mówi dziś o tym kraju, nie może nigdy zapominać, że obszar Kanady równa się terytorium Europy względnie 25-ciu Polskom, gdyż wynosi 9.569,000 km^2. Kanada jest dziś trzecim największym państwem na świecie, po Rosji (21 mil. km^2) i po Chinach (9,8 mil. km^2), a przed Stanami, które mają 7,8 mil. km^2. Kraj ten jest jednak bardzo słabo zaludniony, gdyż według spisu z 1931 posiadał on 10 milionów mieszkańców czyli na 1 km^2 przypada 1 mieszkaniec, podczas gdy w Europie przed wojną, która liczyła 529 milionów ludności, na 1 km^2 przypadało 53,4 ludzi.

Kanada należy do krajów młodych. Cała historia jej liczy nieco ponad 400 lat (w roku 1934 kraj ten obchodził 400-lecie istnienie od odkrycia go przez Jacques Cartier w roku 1534), a jego ludność biała pochodzi wyłącznie z emigracji. Wbrew etymologii słowa „Kanada" kraj ten jest dziś prawdziwym spichlerzem zbożowym Imperium Brytyjskiego*). Nadto posiada on znaczne złoża złota (przynoszące rocznie dochodu 63 mil. dolarów), srebra (3 miejsce na świecie), ołowiu i miedzi (4 miejsce), cynku i platyny (6 miejsce), kobaltu (2 miejsce) oraz niklu i azbestu (90% całej produkcji świata), nie mówiąc o tak ważnych dziś dla produkcji bomby atomicznej złożach uranium.

Podobnie jak Stany Zjednoczone Kanada w chwili rozpoczęcia napływu mas emigrantów z Polski znajdowała się w zaawansowanym stadium gospodarki kapitalistycznej, jednak różnica w nasileniu stopnia tej gospodarki oraz takie czynniki, jak szczupła liczba ludności, klimat, rynki zbytu i stosunki wewnętrzno-narodościowe, wywołały pewne odchylenia w polityce emigracyjnej Kanady od Stanów. Momenty te spowodowały, że ta część fali wychodźczej,

*) Słowo „Kanada" wywodzone jest przez naukowców z hiszpańskiego „Aca-nada", co znaczy „tutaj nic nie ma". Słowa te były podobno powtarzane przez tubylców, gdy Francuzi przybili po raz pierwszy do brzegów kraju i wzięte zostały za nazwę kraju. Przed Francuzami byli już tam Hiszpanie, lecz mieli oni szybko wsiąść na swe okręty i pojechać dalej, powtarzając „aca-nada" — tutaj nic nie ma.

która skierowała się do przemysłu, szła tam przeważnie po to, aby zarobionymi pieniędzmi wytworzyć jak najszybciej własne gospodarstwa rolne.

Najstarsza kolonia rolnicza polska w Kanadzie, pod nazwą Wilno, powstała w roku 1872 w stanie Ontario. Pierwsi osadnicy przybyli tam w liczbie 300 osób z Kaszub.

Przed obecną wojną obliczano ludność polską w Kanadzie na około 150.000 osób. Główne okręgi osiedleńcze — to Winnipeg, Montreal, Ottawa i Toronto. W porównaniu z wychodźstwem do Stanów Zjednoczonych ruch emigracyjny z Polski do Kanady był stosunkowo mały. Za czasów zaborczych większość materiału emigracyjnego stanowili Ukraińcy, którzy przybywali tu masowo „za chlebem" z Małopolski Wschodniej. Polacy osiedlali się zwykle na terenach razem z Ukraińcami, w następstwie czego zaznaczył się w Kanadzie proces wynaradawiania się Polaków na korzyść ukraińską. Przyczyną tego stanu było z jednej strony słabe uświadomienie i mała ilość emigrantów polskich, a szczególnie brak inteligencji polskiej między wychodźcami, co nie sprzyjało wytworzeniu się kulturalnych skupisk polskich. Z tego też punktu widzenia oceniać należy naszą emigrację do Kanady do obecnej wojny raczej ujemnie, zwłaszcza w zestawieniu z korzyściami natury ideologicznej, osiągniętymi przez Polaków w Stanach przedwojennych (por. Załęcki: „Polska polityka kolonialna i kolonizacyjna", str. 94).

Pod względem ekonomicznym sytuacja wyglądała nieco lepiej, szczególnie gdy weźmiemy pod uwagę duże możliwości rolnicze i przemysłowe kraju. Polacy trudnią się tu dziś rolnictwem, pracują w przemysłach, w górnictwie oraz kopalniach złota. Procent pracowników umysłowych oraz kupców jest znikomy.

Dla przedwojennych stosunków kanadyjskich było rzeczą charakterystyczną, iż żywioł angielski uzyskał tam przewagę faktyczną. Jak wiadomo, Francuzi w Kanadzie stanowią 1/3 ogółu (prawie 30%), przy czym są najbardziej rozrodczym narodem na świecie. Anglicy liczą około 5 milionów mieszkańców, Francuzów było przed wojną 3 i 1/2 miliona, resztę zaś stanowili emigranci różnych narodowości. Według obliczeń, o ile Anglosasi w Kanadzie nie będą zasileni przez imigrację z zewnątrz, za 50 lat Francuzi prześcigną ich co do liczebności. Już dziś Montreal uważany jest za 3-cie największe miasto francuskie na świecie. W związku z tą żywotnością elementów francuskich w prowincjach niefrancuskich uwidoczniły się ze strony Anglików znaczne usiłowania asymilacyjne, skierowane głównie przeciw Polakom i Ukraińcom. Prąd ten był zresztą analogiczny do wzrastającego nacjonalizmu anglo-saskiego w sąsiednich Stanach. Stąd i Kanada próbowała przed obecną wojną wkroczyć na tory ograniczenia imigracji narodów nienordyckich, co nie miało jednak tak ostrej formy jak w Stanach.

Do Kanady mogły przed obecną wojną wyjeżdżać na podstawie zezwoleń władz kanadyjskich żony emigrantów i ich dzieci do lat 18, rolnicy fachowcy oraz reemigranci, posiadający tzw. „landing card" lub „immigration identification card". Polityka emigracyjna Kanady rozróżniała wśród przybywających emigrantów trzy grupy narodościowe: obywateli W. Brytanii i zachodnich państw Europy, łącznie ze Skandynawami, po drugie obywateli państw Europy wschodniej i południowej, i wreszcie mieszkańców Azji (Chińczycy i Japończycy). Za „pożądanych" uważano jedynie przybyszów należących do pierwszej grupy. Dla ściągnięcia ich rząd czynił duże ułatwienia i prowadził nawet ożywioną agitację.

Druga grupa przybyszów, do której zaliczano i Polaków, była jedynie „tolerowana“, podczas gdy trzecia była zwalczana i uznana zupełnie za niechętnie widzianą.

Przepisy emigracyjne odnośnie przybyszów z drugiej grupy były wzorowane na cytowanych wyżej ustawach Stanów Zjednoczonych, z pewnym jednak odchyleniem na korzyść. Przyjeżdżający musieli wykazywać się posiadaniem pewnej gotówki, prócz pieniędzy na bilet do miejsca przeznaczenia. Od tego obowiązku wykazywania się pieniędzmi zwalniane były jedynie osoby, jadące do najbliższej rodziny, lub mogące udowodnić zapewnienie pracy w rolnictwie.

Co do obecnych możliwości emigracyjnych do Kanady, to wydaje się, iż względy gospodarcze przemawiały zawsze za podjęciem prób zrealizowania tu szerszych zamierzeń kolonizacyjnych polskich. Ujemnę stroną osiedlania w Kanadzie jest wysoka cena ziemi oraz znaczne koszta pierwszego zagospodarowania się. Są to bezwarunkowo duże przeszkody dla masowego osadnictwa. Przeciw Kanadzie przemawiają również względy klimatyczne, nie tyle z powodu dokuczliwości klimatu, ile ze względu na krótkość sezonów prac rolnych, które szybko zużytkowują dużą ilość maszyn i robocizny, niepotrzebnych przez resztę roku (por. Załęcki). Ten stan rzeczy utrudniał oczywiście na początku gospodarkę rolną.

Jeśli chodzi o przemysł kanadyjski, to w tych ośrodkach, gdzie mogliby Polacy znaleźć zajęcie w przemyśle, tam sytuacja wydaje się ze względów narodowościowych raczej opanowana przez inne, silniejsze narodowości. Jest mało prawdopodobnym, aby ten stan miał ulec zmianie po ostatniej wojnie.

Z głosów prasy, dochodzących nas z Kanady wynika, iż kraj ten potrzebuje dziś rolników i że nawet duża ilość farm rolniczych oczekuje swych nabywców. Rząd kanadyjski obiecał też ułatwienia w nabywaniu tych gospodarstw. Z końcem stycznia b. r. prasa doniosła, iż Kanada ma zamiar ogłosić, jaką ilość Polaków będzie mogła przyjąć na swe terytorium, dotąd jednak powyższe oficjalne oświadczenie nie nastąpiło. Zezwolono jedynie na pozostanie w Kanadzie 41 lotnikom polskim, zdemobilizowanym po ukończeniu działań wojennych w Europie.

(Dokończenie nastąpi).

Dr St. Liberek (Szwajcaria)

Nowe prądy ekonomiczne

Ekonomista amerykański Henry Ludwell Moore wydał w r. 1929 pracę p. t. „Ekonomia syntetyczna“ („Synthetic Economics“). W ciągu roku następnego ekonomiści włoscy: Umberto Rici, del Vecchio, Giovani Demaria, oraz rodak Moore'a Ph. G. Wright, poświęcili jej poważne recenzje w międzynarodowych przeglądach ekonomicznych. Teoria Moore'a, przedstawiająca obraz ogólny mechanizmu gospodarczego w oparciu o metodę pozytywną i syntetyczną, zaintrygowała wielu innych ekonomistów. Toteż w r. 1934 G. Masci a w r. 1935 A. Bordin, Pietri-Tonelli, ekonomiści włoscy i W. Jaffe, Amerykanin, podejmują nad nią dalszą dyskusję. Najpełniejszą krytykę autora „Ekonomii syntetycznej“ daje ekonomista francuski prof. Gaétan Pirou w książce wydanej w r. 1939 p. t. „Les nouveaux courants de la théorie économique aux Etats-Unis“. Jego uczeń, a następnie kolega, prof. Henri Guitton dopatruje się w ekonomiście amerykańskim o ile nie założyciela to w każdym bądź razie prekursora nowej szkoły ekonomicznej, szkoły „syntetycznej“, i wydaje nadzwyczaj jasno i zrozumiale napisaną pracę p. t. „Economie rationnelle, Economie positive, Economie synthétique“ (Paris, 1938). W oparciu o heglowską dialektykę tezy, antytezy i syntezy, formułuje M. H. Guitton w doskonałym stylu rozwój myśli ekonomicznej ostatnich czasów od Walras'a do Moore'a.

Nie zamierzam w niniejszym artykule wchodzić w szczegóły teorii Moore'a. Pragnę jedynie wskazać kierunki nowych prądów ekonomicznych w bardzo ogólnym zarysie w oparciu o teorię amerykańskiego ekonomisty, oraz interpretacje profesorów: G. Pirou i M. H. Guitton.

Wnioskując z niedostatecznych jeszcze korespondencyj, sprawozdań i przeglądów naukowych, wydaje się, iż rozwój myśli ekonomicznej idzie zasadniczo po linii wytyczonej jeszcze przez ekonomistów „neoklasycznych“, lub „racjonalistów“ — pomimo istnienia nowych kierunków opozycyjnych, które określamy wspólnym mianem szkoły „pozytywnej“. Aby możliwie jasno przedstawić teorie tej ostatniej, a następnie tezę „syntezy ekonomicznej“ Moore'a, zmuszony jestem przypomnieć w kilku zdaniach zasadnicze teorie neoklasyczne: »psychologiczną«, teorię »użyteczności krańcowej«, znaną również pod nazwą »wiedeńskiej« lub »austriackiej« i »matematyczną« lub »lozańską« teorię »równowagi gospodarczej«.

Pierwsza z tych teoryj, sformułowana przez Karola Mengera, Stanley Jevons'a, Leona Walrasa i rozwinięta przez von Wieser'a, Böhm-Bawerk'a, J. B. Clark'a, Patten'a, Carver'a, Fetter'a, Irwing Fishera i innych, wychodzi z założenia zasadniczego, iż źródła wartości dóbr ekonomicznych należy szukać w »życzeniach« człowieka. Ażeby więc zrozumieć mechanizm gospodarczy, należy zająć się konsumentem. Dobra produkcyjne są o tyle wartościowe o ile służą tworzeniu dóbr konsumpcyjnych, »pożądanych« przez człowieka.

W przeciwieństwie do ekonomistów klasycznych, szukających wyjaśnienia wartości w kosztach produkcji, i marksistowskich, twierdzących iż wartość



Wacław Wąsowicz. Wóz.



Władysław Skoczylas — Dziewczęta.

mierzy się ilością włożonej pracy, teoria »użyteczności krańcowej« szuka rozwiązań po stronie konsumenta, a nie producenta.

Wartość dobra ekonomicznego według tej teorii może być mierzona użytecznością »ostatniej jednostki«. Wprowadza więc ona pojęcie »jakości«, ponieważ chodzi o użyteczność rzeczy i »ilości«, ponieważ ostatnia jednostka może być dziesiątą, setną lub tysięczną jednostką. Szukając wyjaśnień wartości w życzeniach człowieka, teoria ta wprowadza czynnik psychologiczny, sprowadzając pojęcie użyteczności dobra ekonomicznego do subiektywnej oceny konsumenta. Usiłuje ona wyjaśnić różne wartości przez pojęcie użyteczności »ostatniej jednostki« oraz przechodzi od »użyteczności« krańcowej do »produkcyjności« krańcowej, dając pełny obraz mechanizmu gospodarczego. Obejmując różnorodność zjawisk gospodarczych, wyjaśniając zmiany wartości zachodzące w przestrzeni i czasie (teoria procentów) opiera się ta teoria ostatecznie na analizie psychologicznej spożywcy.

Druga teoria »równowagi gospodarczej« wyłoniła się właściwie z koncepcji »użyteczności krańcowej«, bowiem Walras jest również jej autorem. Następca jego na katedrze ekonomii politycznej Uniwersytetu Lozańskiego Vilfredo Pareto rozwinął teorię swego poprzednika w oparciu o matematykę. Marshall, Edgewarth, matematyk i filozof Pearson, ekonomiści włoscy: Pantaleoni, Barone, Borgatta, Sensini, Murray, francuscy: Aupetit, Colson, Bouvier, niemieccy: Lannhardt, Auspitz, Lieben, polscy: Winiarski i Zawadzki, przyczynili się wydatnie do pogłębienia i rozszerzenia teorii »matematycznej«, dając wyraz bogactwu myśli ludzkiej i penetracji rozumu w dziedzinie dotychczas nieznanej.

Teoria »równowagi gospodarczej« jest syntezą popytu i podaży dwóch czynników, wpływających na ustalenie się ceny; usiłuje ona połączyć teorie klasyczne, zajmujące się przede wszystkim produkcją — a więc warunkami podaży — z teoriami użyteczności krańcowej, które jak wyżej zaznaczyłem interesują się konsumentem, a więc warunkami popytu. Wyjaśnia ona nie tylko szerzej, głębiej i pełniej zagadnienia gospodarcze aniżeli teorie klasyczne i użyteczności krańcowej, ale jednocześnie pewniej i obiektywniej w oparciu o ostrą dyscyplinę umysłową rozumowania matematycznego. W przeciwieństwie do subiektywizmu teorii psychologicznej i w trosce o kompletny obiektywizm usiłuje zredukować czynnik psychiczny jako zmienny, zależny od człowieka, do minimum. Nie zajmuje się analizą wartości, pojęciem względnym i niezdefiniowanym, ale stwierdzeniem ceny, kształtującej się na podstawie »wyboru«, który jedynie może być przedmiotem studium obiektywnego.

Obie teorie zatem pomimo istniejących różnic zbliżone są zastosowaniem tej samej metody abstrakcyjnej, która opiera się raczej na rozumowaniu, aniżeli na faktach. Biorąc za punkt wyjścia rozważań nie tyle obserwacje samych zjawisk gospodarczych, ile raczej dane stwierdzone i zapożyczone z innych nauk jak logika, psychologia i matematyka, obie teorie nie roszczą sobie pretensji do wyjaśnienia natychmiastowego i całkowitego tych zjawisk. Stworzyły one jednak pewien system, w którym zjawiska gospodarcze mogą być pośrednio wyjaśnione, na skutek ich uogólniania i upowszechniania. Tezy, teorie i prawa odnoszące się do tych zjawisk przedstawiane są na wzór nauk ścisłych pod nazwą »ekonomiki«, lub »ekonomii czystej«. Renesans tej ekonomii zwanej również »abstrakcyjną«, »statystyczną« lub »racjonalną«, znajduje ostatnio

wyraz w nawrocie do ponownych analiz »użyteczności krańcowej« uczniów profesorów austriackich Hansa Mayer'a i von Mises'a (jak n. p. Rozenstein-Rodan i Oskar Morgenstern); w świetnej ekipie ekonomistów z »London School of Economics« pod dyrekcją prof. Lionel Robins'a; w pracach ekonomistów amerykańskich, szwedzkich i holenderskich, zajmujących się »ekonometrią«, wyrafinowaną metodą matematyczną, służącą do teoretycznego formułowania praw odnoszących się w szczególności do rynków i cen; w teoriach następców Pareto'a na katedrze ekonomiki Uniwersytetu Lozańskiego: Pascala Boninsegni'ego i prof. F. Oulès'a.

* * *

Szkoła »pozytywna« jest przeciwstawieniem tych kierunków, a niejednokrotnie ich uzupełnieniem. Wyznawcy jej atakują żywiołowo pozycje zwolenników teorii »użyteczności krańcowej« lub metody »matematycznej«. Są oni »realistami«, zajmują się bowiem problemami więcej konkretnymi, specjalnymi, więcej zbliżonymi do rzeczywistości, wskutek czego więcej względnymi, odpowiadającymi warunkom jednego kraju, mniej abstrakcyjnymi, przez co nie chcę powiedzieć mniej naukowymi.

Operując terminologią prof. Guitton, szkoła »pozytywna« kładzie nacisk na fakty gospodarcze, ich obserwację, opis i analizę, mniej natomiast na teorię; podczas gdy szkoła »racjonalna«, pragnąc wyjaśnić rzeczywistość, ufna w inteligencję człowieka, dąży w pierwszym rzędzie do skonstruowania teorii, którą następnie konfrontuje z faktami.

W przeciwieństwie więc do racjonalistów, stosujących metodę dedukcyjną i abstrakcyjną, pozytywiści opierają się na metodzie indukcyjnej, statystycznej i monograficznej. Tak jak w teorii »równowagi« algebra i geometria odgrywały pierwszorzędną rolę, tak obecnie rolę tę otrzymały: geometria wykreślna, diagramy i statystyka, dzięki której obserwacja faktów może być dokonywana masowo, uwzględniając ich zmienność w przestrzeni i czasie. Nie znaczy to, aby realiści nie uwzględniali abstrakcji, warunku nieodzownego każdej nauki ścisłej. Żądają jednak, aby ich metoda praktyczna i realna, niejako fotograficzna, opierała się na podstawie faktów, które jedynie pozwalają poznać rzeczywistość. Cechuje ich relatywizm, wprowadzony przez ekonomistów historycznych (młoda szkoła historyczna lub opisowa: Schmoller, Buecher, Sombart). Twierdzą oni, że psychika ludzi jest zmienna w zależności od okresu i kraju. Przeciwni są racjonalizmowi psychologicznemu, idei istnienia stałej natury ludzkiej, która, jakoby podobna i taka sama znajdowała się we wszystkich społeczeństwach i w różnych epokach. Na jej miejsce wprowadzają »niepodobieństwa« psychologiczne. Z tego też już chociażby względu prawa ekonomiczne mają charakter względny i są ograniczone. Prawa te są względne i dlatego, że zjawiska gospodarcze występują w ramach istniejących instytucyj prawnych i społecznych, które również są zmienne w zależności od okresu i kraju (J. R. Commons).

Abstrakcyjnemu pojęciu klasycznemu własności pozytywiści przeciwstawiają różne formy własności, jakie zachodzą od własności indywidualnej począwszy na zbiorowej skończywszy. Zamiast mówić o konkurencji absolutnej, teoretycy realizmu gospodarczego rozważają różne »stopnie« konkurencji, jak również różnorodne sytuacje jakie zachodzą między konkurencją i monopolem.

Z punktu widzenia teoryj ekonomicznych nowe prądy są albo przeciwstawieniem teoryj istniejących, albo też stosują nową ich interpretację, zawsze jednak na podstawie obserwacji faktów, unikając o ile jest to tylko możliwe wszelkiej abstrakcji.

Zwalczają więc teorię »równowagi« — twierdząc, iż równowaga gospodarcza w rzeczywistości nie istnieje. To, co możemy zaobserwować i stwierdzić, to właśnie nierównowaga. Zamiast więc analizować warunki równowagi, cenę »normalną« lub »naturalną«, pozytywniej jest zająć się stwierdzeniem, chociażby na podstawie obserwacji codziennej, np. fluktuacji cen, lub zmienności zachodzących w działaniach gospodarczych.

W przeciwieństwie do racjonalistów autorzy nowych kierunków twierdzą, iż równowaga gospodarcza, o ile wogóle może być osiągnięta — to w każdym razie bardzo powoli i nigdy całkowicie. Elementów materii ekonomicznej nie należy porównywać z płynem, jak to czynią neoklasycy, ile raczej z masą »żelatynową« (J. Rueff). Należy więc zwrócić uwagę na różnorodność zjawisk gospodarczych w ich mało elastycznej formie, na nierówności w ich pojawianiu się. Ponieważ nierówności te mogą być skonstatowane po upływie pewnego czasu, należy przeto zająć się rozważaniami roli czasu w ekonomii.

Jest rzeczą znamienną, że nowe prądy, wychodząc z innych założeń, zwracają uwagę na problem czasu i doceniają go podobnie jak teoretycy »użyteczności krańcowej«. Jak wiadomo jeden z głównych przedstawicieli tej teorii Böhm-Bawerk wyjaśnia istnienie procentów na podstawie uwag o czasie. Matematyczne pojęcie czasu ekonomii abstrakcyjnej przybiera jednak u pozytywistów więcej konkretną formę »okresu«. Stąd powstaje żądanie dokładnego oznaczania zjawisk gospodarczych w czasie, skrzętne ich notowanie w różnych epokach. Analiza tych zjawisk w czasie doprowadza do wniosku, iż niektóre z nich nie mogą być wyjaśnione, inne zaś jako bardzo różnorodne, nie dające się sklasyfikować, drugorzędne lub wyjątkowe, są bezprzedmiotowe.

Rozwój studiów psychologicznych, a zwłaszcza psychologii patologicznej, wpłynął również na interpretację zjawisk gospodarczych przez ekonomistów pozytywistów. Jak obserwacje przypadków patologicznych u ludzi chorych pozwalają na wysunięcie wniosków i twierdzeń dotyczących ludzi zdrowych, podobnie egzamin patologicznych zjawisk gospodarczych ułatwia interpretację i zrozumienie mechanizmu ekonomicznego. W oparciu o tę zasadę liczni ekonomiści poświęcają poważne studia interpretacji takich zjawisk jak »dumping«, hyper-inflacja, panika giełdowa i t. p.

Dalszym rysem charakterystycznym nowych prądów jest podkreślanie ważności czynnika irracjonalnego i kolektywnego (J. R. Commons) w przeciwieństwie do klasyków i neoklasyków, zwracających uwagę przede wszystkim na czynnik indywidualny i racjonalny.

Obserwacja zwłaszcza współczesnego życia gospodarczego stwierdza nieomal w każdej jego dziedzinie akcję zbiorową. Akcja przedsiębiorców, pracowników umysłowych czy fizycznych, w sprawie umów o warunkach pracy i płacy, zrzeszeń kupców i przemysłowców regulujących ceny, konsorcjów bankowych ustalających wysokość stopy procentowej i niezliczona ilość innych zjawisk gospodarczych, wykazuje przewagę czynnika kolektywnego. Indywidualna akcja w społeczeństwach nowoczesnych wydaje się zatracać swój pierwotny charakter, ustępując miejsce kolektywizmowi społecznemu.

Czynnik irracjonalny to rola, jaką przypisują ekonomiści nowych kierunków zwyczajom, tradycji, modzie, autorytetowi i reklamie w życiu gospodarczym. Studia ich w oparciu o socjologię, statystykę, metodę Le Play'a, psychologię, dążą do wykazania np.: wpływu zwyczajów zbiorowych i poziomu życia na wskaźnik płacy i jego zmiany (socjolog i ekonomista M. Halbwachs); stosunków zachodzących między poziomem życia i przyzwyczajeniami spożycia (H. Delpach); znaczenia reklamy, niemożliwości wyjaśnienia pobudek, które prowokuje i w następstwie których życie gospodarcze zostaje w pewnym stopniu ożywione (R. Maudit); jej wpływu na ceny towarów; rolę mody (J. M. Clark) i t. d.

Nowe prądy nie widzą w ekonomii politycznej tylko »nauki« ścisłej, oderwanej, spekulatywnej, bezinteresownej i abstrakcyjnej, jak to czynią szkoły racjonalne, ale również dopatrują się w niej »sztuki«. Połączenie nauki i sztuki kończy się polityką. Zwolennicy tych kierunków uważają połączenie to za właściwe, ponieważ ekonomia polityczna dotyczy postępowania człowieka w społeczeństwie i stosunków między ludźmi, które nie mogą być interpretowane wyłącznie na wzór stosunków zachodzących między elementami fizyki czy chemii. Twierdzą ponadto, że sprawy gospodarcze i społeczne należy traktować razem. Przedmiotem studiów ekonomisty nie powinny być jedynie np. obserwacje ceny i jej fluktuacje, ale rozważania nad »dobrobytem«, a więc pierwiastkami: ludzkim i społecznym, jakie pojęcie dobrobytu w sobie zawiera (C. M. Clark, A. Pigou, Hobson).

Takie ujęcie nauk ekonomicznych może być zbyt arbitralne i kryje w sobie niebezpieczeństwo doktrynerstwa.

W naukach społecznych — w ekonomii politycznej w szczególności — należy odróżnić teorię od doktryny. Teoria jest usiłowaniem wyjaśnienia rzeczywistości, podczas gdy doktryna jest oceną, sądem, wartościowaniem i ewentualnie programem reform (G. Pirou). O ile rozróżnienie teorii od doktryny jest łatwe w szkole racjonalnej — o tyle jest ono trudne w nowych kierunkach. Autorzy ich bowiem, nie znajdując zadawalniających rozwiązań teoretycznych, proponują jednocześnie różne programy gospodarcze i reformy społeczne jako uzupełnienie swoich tez.

W ten sposób nowe kierunki przechodzą do interwencjonizmu, pozostając w opozycji do liberalizmu szkół abstrakcyjnych. Interwencjonizm ten jako wyraz dzisiejszej t. zw. »gospodarki kierowanej« przybiera u różnych autorów różne formy (Stuart Chase, Tugwell, Slichter, »technokraci« w Stan. Zjedn.; André Philipe, obecny minister skarbu we Francji). Jedni pozostają zwolennikami ekonomii indywidualnej i żądają jedynie »kontroli« władz publicznych w niektórych dziedzinach życia gospodarczego, drudzy uważają iż jest możliwe i wskazane »planowanie ogólne«, oddające tejże władzy publicznej całkowite kierownictwo życia gospodarczego i społecznego. Pozostawiając na uboczu zagadnienia konsumpcji i cyrkulacji dóbr ekonomicznych (za wyjątkiem handlu zagranicznego), zwolennicy »gospodarki kierowanej« interesują się ich produkcją i rozdziałem dochodu społecznego. Jeżeli jedni przez kontrolę produkcji rozumieją kontrolę trustów i karteli, to inni pragną całkowitej substytucji produkcji jako monopolu prywatnego na monopol publiczny. Zalecają przy tym różne środki rozdziału dochodu społecznego celem wyrównania istniejących różnic społecznych i podniesienia stopy życiowej jak najszerszych warstw. Cele

narodowe (protekcjonizm przechodzący często w autarchię), czy społeczne (polityka społeczna), zdaniem ich winny mieć pierwszeństwo przed racjonalizmem ekonomicznym.

Autorzy tych kierunków myśli ekonomicznej są bardzo liczni. Ograniczam się do wymienienia jedynie kilku jak: Franciszek Simiand, E. Durkheim i Albert Aftalion we Francji; Gino Arias, Ugo Spirito, Bresciani-Turroni we Włoszech; A. Pigou, J. M. Keynes, Hobson i Cole w Anglii; Th. Veblen, J. M. Clark (syn), J. R. Commons, W. C. Mitchell i jego współpracownicy z »National Bureau of Economic Research«, S. Kuznetz, Stuart Chase, Saule Tugwell, Slichter i inni w Stan. Zjednoczonych. (Wg prof. G. Pigou — „Les nouveaux courant de la théorie économique aux Etats-Unis").

* * *

O ile więc ekonomia abstrakcyjna nie zadawalnia nas, odbiega bowiem za bardzo od rzeczywistości gospodarczej, podobnie ekonomia pozytywna zajmująca się tylko faktami, nie umiejąca wyjaśnić rzeczywistości, nie daje nam żadnej satysfakcji. Powstaje przeto pytanie, czy nie jest możliwe połączenie konstrukcji spekulatywnych ekonomii matematycznej z obserwacją konkretnych zjawisk gospodarczych. Innymi słowy — nie dając pierwszeństwa ani teorii ani faktom, czy nie można stworzyć ich syntezy, to znaczy włączyć fakty w teorię. Jest to myśl przewodnia prof. Moore'a. Łącząc metodę statystyczną obserwacji zjawisk gospodarczych pozytywistów z ideą równowagi racjonalistów, Moore usiłuje dać syntezę ekonomii jako rzeczywistej nauki równowagi w ruchu. Subtelne wywody, drobiazgowe interpretacje i uzasadnienia swoje popiera fascynującymi formułami matematycznymi, którym nie można zarzucić żadnej nieścisłości i które jedynie mogą zrozumiale wyjaśnić to, czego język zwykły wypowiedzieć nie jest w stanie. Moore realizuje swoją teorię w tak zwanej »semiologii ekonomicznej« t. j. nauce symptomów gospodarczych, dając formułę wskaźnika oscylacji cen towarów na rynku (H. Guitton).

Prof. Pirou, osądzając sceptycznie wywody amerykańskiego ekonomisty, stwierdza, że jego „Ekonomia syntetyczna" kontynuuje kierunek neoklasyczny o tyle, że jest koncepcją równowagi, a różni się w tym, że równowaga ta pojęta jest jako coś ruchomego i dynamicznego.

Ponieważ równowaga zawiera w sobie pojęcie stanu nieruchomego, statycznego, wydawało by się że teoria Moore'a zawiera sprzeczności. Są to tylko pozory. F. Perroux, w książce swojej p. t. „La pensée économique de Joseph Schumpter", wykazał że stan, który przyzwyczailiśmy się nazywać statycznym lub dynamicznym, wynika z badania zjawiska w pewnej chwili (stan statyczny), lub też podczas jego trwania (stan dynamiczny). Pojęciu stanu statycznego odpowiada pojęcie stanu równowagi wyrażającej doskonałość w ruchu lub bezruchu. Rzeczywistość nie zna takiej doskonałości. Stan statyczny należy sobie przeto wyimaginować. Pozostaje on abstrakcją. W rzeczywistości istnieje więc równowaga w ruchu. Dzięki tej koncepcji równowagi rzeczywistej i ruchomej Moore — jak twierdzi prof. Guitton — może pretendować do wyjaśnienia stanu realnego, zdefiniowanego przez V. Pareto'a jako stan „ustawicznych oscylacyj wokoło punktu centralnego równowagi, który sam zmienia swoje położenie".

Synteza Moore'a wydaje się być istotnie koncepcją bardzo śmiałą. Dużo prawdopodobnie jednak będzie trzeba czasu, aby dała ona osiągnięcia praktyczne. Jeżeli jednak już obecnie w oparciu się o nią jest możliwe np. przewidzieć „naukowo cenę zboża w ten sam sposób jak się przewiduje godzinę przypływu morza w porcie New-York'u", jak pisze rzecznik szkoły syntetycznej prof. Guitton, to należy sobie uświadomić, iż kierunek myśli ekonomicznej Moore'a jest pozytywny i że warto, aby ekonomiści nim się więcej zainteresowali.

* * *

Najnowsze interpretacje myśli ekonomicznej wydają się zawierać dzieła prof. G. Pirou: „Introduction á l'étude de l'économie politique. Paris, 1939". i „Traité d'economie politique. Les cadres de la vie économique. Paris, 1940—41. 2 T".

Ekonomista francuski odrzucając tradycyjny podział ekonomii politycznej na produkcję, cyrkulację, rozdział i spożycie, oryginalnie naświetla zjawiska gospodarcze w oparciu o metody: abstrakcyjną i pozytywną. Najkorzystniejszą zdobyczą nowoczesnej nauki ekonomicznej, jego zdaniem, to rozszerzenie pojęcia produkcji. Produkcją jest stwarzanie użyteczności albo wartości tak materialnych jak i niematerialnych. Działalność zatem kupca, finansisty, adwokata, lekarza, inżyniera i t. p., których bym nazwał „producentami usług", ma z punktu widzenia tej koncepcji produkcji takie same znaczenie, jak działalność przemysłowca, rzemieślnika, czy robotnika, produkujących dobra materialne.

W uzupełnieniu Moore'a, który opiera się na matematyce i statystyce, prof. Pirou uważa psychologię za naukę przynoszącą dużo pożytku ekonomii politycznej. Twierdzi, iż ekonomia nie zasługiwałaby na miano politycznej ani też realnej, gdyby w rozważaniach wzgardziła akcją opierającą się na uczuciu lub micie (G. Sorel). Dlatego też według niego ekonomia nie obejmuje jedynie „nauki" ekonomicznej, ale również studium „doktryn", ich ewolucję i wpływ.

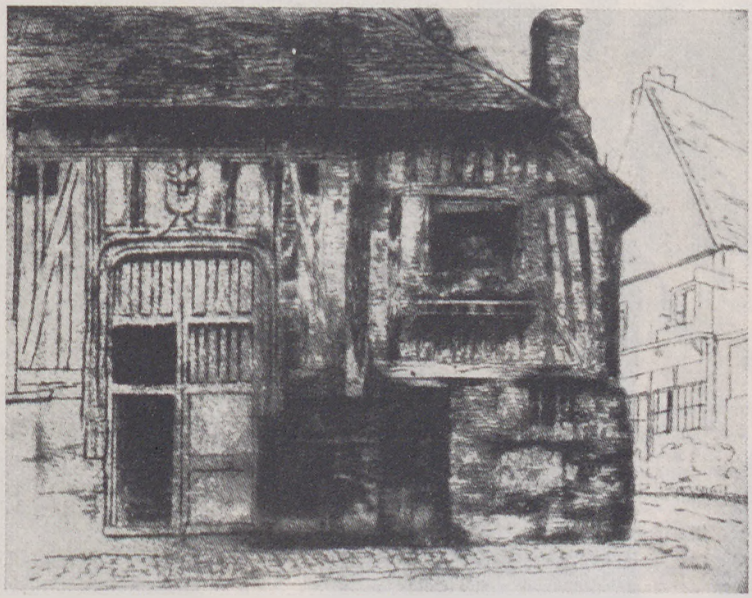
Opis, teoria i doktryny, są dla prof. Pirou trzema działami nowocześnie ujętej ekonomii politycznej, które logiczniej, zwarciej i więcej naukowo wyjaśniają istotę mechanizmu gospodarczego, aniżeli dotychczasowy tradycyjny czterodziałowy podział.

Prof. Pirou, będąc pozytywistą jak Franciszek Simiand i racjonalistą jak Leon Walras, może być moim zdaniem uważany za protagonistę najnowszego kierunku w ekonomii politycznej.

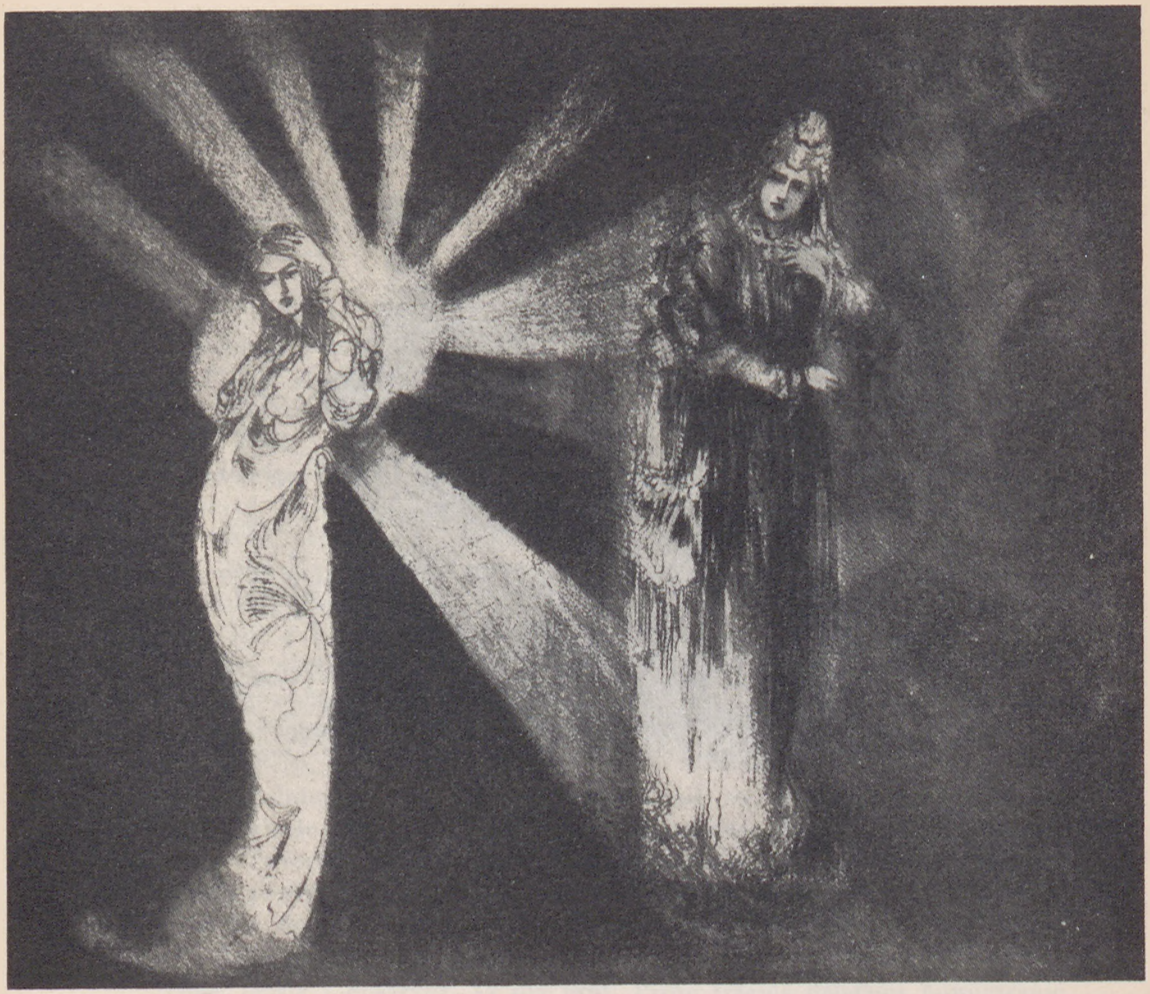
SPROSTOWANIE

W numerze 5 »HORYZONTÓW« dzięki wprowadzeniu nas w błąd podaliśmy mylnie w spisie rzeczy nazwisko p. Lecha Konkola jako autora wiersza »Idę sobie donikąd«. Jest nim p. Andrzej CHCIUK, którego niniejszym przepraszamy za pomyłkę.

Redakcja



Józef Pankiewicz. Akwaforta.



Franciszek Siedlecki. Wega i Atair.

Dr M. Sangowicz (Szwajcaria)

Nie ma w Polsce boju o światopogląd

Artykuł p. St. Szczygielskiego p. t. „Bój o światopogląd“, drukowany w Nr 5 Horyzontów, wzbudził duże zainteresowanie. Wyrazem tego są listy, jakie redakcja otrzymała od czytelników, różnie ustosunkowujących się do wywodów autora artykułu; otrzymaliśmy również dłuższą wypowiedź polemiczną, którą poniżej zamieszczamy. Celem uniknięcia nieporozumienia stwierdzamy równocześnie, że artykuł p. St. Szczygielskiego nie był wyrazem ideologii naszego miesięcznika. Wynika to już choćby z charakteru informacyjno-sprawozdawczego samego artykułu, który wydrukowaliśmy — wychodząc z założenia, że zagadnienie w nim poruszone należy dzisiaj do najciekawszych, a zarazem najistotniejszych, problemów polskiej rzeczywistości kulturalnej. *Przyp. Red.*

Wśród wychodźstwa polskiego, jeżeli chodzi o stosunek do Kraju, istnieją, obok może i innych, dwa łatwo dostrzegalne kompleksy, biegunowo sobie przeciwne.

Dotknięci jednym z nich żyją na istniejącej tylko w ich wyobraźni planecie, która nazywa się „Polską przedwojenną“, mając wciąż przed oczami obraz tego, co wynieśli z kraju przed 7 laty, nie troszcząc się wcale o przyłożenie tego obrazu do dzisiejszej rzeczywistości, nie chcąc lub nie umiejąc wyciągnąć wniosków z faktów. Oni wszystko o Kraju „wiedzą“, więc czekają na powrót w biernej apatii, niczego nie szukając i nie starając się zrozumieć, przygotowani na takie jedynie zmiany jak zrujnowane niektóre domy i drożyznę. Nie wrócą nigdy, bo ich ojczyzna nie istnieje. Jest ich zresztą tylko garstka i szkodzą przeważnie tylko sobie.

Drugi kompleks, spokrewniony z kompleksem niższości, polega na tym, że dotknięci nim o Kraju nie wiedzą nic. Wyjechali tyle lat temu, nie brali udziału w tylu wstrząsach, jakie przeżyło społeczeństwo, że odcięci bez ratunku, czują się, za siebie i za innych, jak wyrzucone na brzeg morski wodorosty. Tęsknie spoglądają na wschód i, pragnąc za wszelką cenę nadrobić utracone lata i nawiązać zerwane nici, chwytają się kurczowo pierwszej lepszej wieści z Kraju, ułamka zagubionej całości — i na jej obraz i podobieństwo lepią sobie wizerunek rzeczywistości. Nie trzeba wskazywać, do jakich wyników może to doprowadzić. Wynik jest szczególnie niespodziewany wtedy, gdy taki „odcięty“ zabiera głos publicznie.

Typowym przykładem takiego właśnie nastawienia jest artykuł p. t. „Bój o światopogląd“ w nr. 5 „Horyzontów“. Autor Stanisław Szczygielski przejęty słuszną i mądrą troską o zrozumienie rzeczywistości polskiej, miał okazję zapoznać się z paroma fragmentami dyskusji lub polemiki, jaka toczy się w niektórych pismach krajowych między zwolennikami doktryny marksistowskiej a jej przeciwnikami, zgrupowanymi koło czasopism katolickich (mówiąc nawiasem autor przytacza jedno tylko pismo komunistyczne a aż cztery, wszystkie, pisma katolickie, stwarzając mylne wrażenie, że tych ostatnich jest o tyle więcej . . .). Na tej kruchej podstawie, drogą mało przekonywującego rozumowania, dochodzi autor do wniosku, że kluczem sytuacji w tej nieznanej Polsce jest wspomniany wyżej konflikt ideologiczny, a zawarcie rozejmu, „współpraca

wszystkich grup i wszystkich światopoglądów" jest jedyną gwarancją odbudowania kraju. „...Czasami twarda konieczność życiowa wymaga, by ponad światopoglądowym pojedynkiem o zasady podać sobie ręce do współpracy na codzień, do budowania teraźniejszości, do tworzenia zasobów bogactwa narodowego".

Cóż za zdumiewająca konkluzja, co za niebezpieczna, żeby nie powiedzieć podejrzana recepta, która tak łatwo prześlizguje się nad bliżej niesprecyzowaną „twardą koniecznością życiową" (czemu nie mówi autor wstydliwie, jaką?) i odrzuca à priori pewne zasady bezwzględne, których nawet dla „współpracy na codzień" odrzucić nie wolno.

Autor artykułu należy bezsprzecznie do tych Polaków, którzy, jak sam pisze, „często nie dostrzegają lub nie rozumieją tego, co myśli i czuje Polak w Polsce". Jeżeli mianowicie w Polsce istnieje ideologiczna polemika z komunistami, to tylko dlatego, że inna polemika nie jest możliwa. Ale możemy być przekonani, że do jej wyników nikt w Polsce nie przywiązuje najmniejszej wagi, bo żaden wynik platonicznej dyskusji nie zmieni ani na jotę polskiej rzeczywistości.

Inaczej sądzi autor. Dla niego tu leży cały punkt ciężkości, dla niego „rozprawa między systemem chrześcijańskim i marksistowskim przybrała największe nasilenie w Polsce". Skąd to przekonanie? Czy nie jest ono wynikiem lansowanej od dawna tezy propagandowej, jakoby wszystkie trudności Polski były wynikiem wewnętrznych tarć w łonie społeczeństwa? Autor bezwiednie, miejmy nadzieję, przyjął tę fałszywą prawdę, schodząc w ten sposób beznadziejnie z drogi obiektywnych rozważań.

„Bój o światopogląd" w Polsce jest nierozumiałym zupełnie złudzeniem optycznym, wynikającym z przeczytania paru tylko czasopism krajowych. Nie owijajmy rzeczy w bawełnę. „Twarda konieczność życiowa" to jest przymusowe położenie, w jakim, bez swojej winy, znalazła się dzisiaj Polska. Gdzie byli w Polsce przed wojną zwolennicy materializmu jako poważna siła? Były radykalne społecznie prądy, idące z duchem czasu, ale czy to znaczy „materializm"? W czasie ostatniej wojny, daje wyjaśnienie autor, katolicyzm polski stracił pewną liczbę swoich zwolenników, którzy „odeszli, siłą rzeczy szukając przytuliska u marksistów". A skąd znowu to twierdzenie, ta pewność? Napewno nie wynika ona z sumiennej analizy rzeczywistości polskiej. Wiadomości z Kraju powtarzają uporczywie, że proces jest właśnie odwrotny. Na jakiej podstawie autor temu nie wierzy? Na jakiej podstawie sugeruje czytelnikowi, że ten fikcyjny „bój" jest jednym z głównych elementów życia polskiego?

W Kraju idzie bój, ciężki i okropny, ale nie o ideologię bynajmniej, którą antycypuje katolicka struktura narodu, ale o wolność. Tego napisać nie może żadne pismo w Krakowie lub Warszawie, to musi pisać każdy publicysta za granicą, zwłaszcza, jeżeli deklaruje się katolikiem, jak Stanisław Szczygielski. Niestety, tego zasadniczego, tego jedynego elementu autor nie dostrzega. Dla niego „na nowo wrócony życiu" Polak „nie zachłystuje się od radości wolnością", »nie cieszy chłopięco swobodą« tylko dlatego, że ma przed sobą niesłychanie ważne problemy ideologiczne. Oto do czego prowadzi ocena rzeczywistości na podstawie dyskusji między dwoma pismami w Polsce.

Nikt zapewne za granicą nie może słusznie twierdzić, że zna świetnie sytuację w Polsce i nurtujące w niej obecnie prądy. Ale możemy śmiało utrzymywać, że wielu Polaków za granicą zna ją lepiej od wielu Polaków w Kraju.

My mamy tu polską prasę zagraniczną (tendencyjna? może), oni mają tylko prasę krajową (tendencyjna? napewno). My mamy tu i tę prasę krajową, oni naszej nie mają, my tu mamy dzienniki całego świata, radio, książki, oni prawie nic z tego wszystkiego. Nie wiemy z pewnością prawie nic o codziennych drobiazgach życiowych, o tym, na co dziś można pójść do kina w Piotrkowie, albo gdzie tanio można kupić używane buty, ale niechże nikt nie twierdzi za innych, że „trudno dziś zdać sobie sprawę (za granicą) z przemian, jakie zaszły w sposobie myślenia społeczeństwa w Polsce!".

Oto mówi Kardynał Hlond na Święto Chrystusa-Króla (28. X. 1945): „Napór materializmu międzynarodowego jest potężny, lecz chrześcijaństwa nie powali. Dzisiaj zawezwany, by z ręką na sercu wypowiedział się, na jakich zasadach pragnie budować swe nowe życie, ten stary lud polski odpowie bez wahania, że w atmosferze chrześcijańskiej. Na przełomie dziejów Polska katolicka ślubuje Bogu i zaprzysięga się wobec przyszłych pokoleń, iż ostoi się wobec wszelkich pokus niewiary i że uchroni swą duszę od ubezwładnienia przez materializm. Lud katolicki oczekuje, że nowa państwowość polska będzie owiana myślą chrześcijańską, plemiennym geniuszem narodu, bo po wiekowych zawodach i bólach lud ten chciałby w nowej Polsce czuć się wreszcie włodarzem własnych losów". („Polska Wierna" 17. III 1946). Gdzie tu przemiany w sposobie myślenia Polski?

A oto mówi w swej odezwie do młodzieży akademickiej Rektor Uniwersytetu Poznańskiego prof. Stefan Dąbrowski: „W ciągu tych sześciu strasznych lat wyznawaliśmy wszędzie na frontach, w obozach jeńców, w więzieniach i obozach koncentracyjnych, tę samą wiarę w tryumf dobrej sprawy, ufając zawsze, że Polska pod sztandarem Chrystusa przyczyni się do ustalenia pokoju wśród ludzi dobrej woli. Gdy rzucimy okiem wstecz, zobaczymy ze zdziwieniem, że Polska w tym ostatnim kataklizmie pozostała sobą, że nie odkryła ona w swej duszy nic nowego, że jedynie w nowej formie i w nowych okolicznościach wniosła do sumień narodów katolickich to, o czym dwa tysiące lat temu Pismo Św. mówiło do doktorów i mędrców owych czasów: Poznajcie prawdę, albowiem prawda was zbawi". Jest więc rzeczą palącą w tej historycznej chwili, aby cała Polska wraz z jej młodzieżą pozostała wierna samej sobie, czerpiąc ze źródeł wiary i prawdy naturalnej nieugiętą siłę dla swego ducha („Polska Wierna" 24. III 1946). Gdzie tu przemiany w sposobie myślenia Polski?

A oto Biskupi polscy oświadczają kategorycznie w swym Wielkopostnym Liście Pasterskim: „Ciężko odpowiedzielibyśmy przed Bogiem, gdybyśmy w tej zwrotnej chwili nie użyli powagi naszego pasterskiego powołania, by duszę polską od materializmu zabezpieczyć. Polska powinna być nowoczesna, sprawiedliwa, szczęśliwa, wzbogacona zdobyczami wiedzy i techniki, kulturalna, mądrze zorganizowana. Ale Polska nie może być bezbożna. Polska nie może się wyprzeć swej przynależności do świata chrześcijańskiego. Polska nie może zdradzić chrześcijańskiego ducha swych dziejów. Polska nie może być komunistyczna. Miejcie się na baczności przed zakusami sekt i herezyj. Unikajcie sideł ich propagandy. Strzeżcie się błędów i zboczeń szerzonych przez obce duchowi polskiemu innowierstwo. Polska urośnie do znaczenia potęgi moralnej i będzie natchnieniem przyszłości Europy, jeżeli nie ulegnie bezbożnictwu,

PAMIĘĆ PUSZCZY

Bory ciemne i ciche, siwa puszczy pręga
podpiera mój horyzont i w snach pachnie sosną,
do stóp jej padła wrzosów liliowa siermięga
podszyta paprociami, które w jarach rosną.

Jednorożec mityczny jeszcze tutaj mieszka
pijąc srebro księżyca z jasnych, jak świt jezior —
na ślad jego prowadzi zapomniana ścieżka
pamięci, przesiekami w las wciętej, naprzezior.

I patrzy stamtąd niebu w błękitną głębinę,
która jest jak odbicie modrych wód Bałtyku
i wiatrem gna chmur żagle, skłębione i sine,
i rwie każdy mój oddech wielkim skrzydłem krzyku.

---

a w rozgrywce duchów stanie niechwiejnie po stronie Boga“ („Polska Wierna“ 14.IV. 1946). Czy tu znajdziemy zmiany w sposobie myślenia Polski?

Polska chce pozostać wierna swych chrześcijańskim ideałom i im wierna zostanie „niechwiejnie“. To nie jest walka ideologiczna, to jest tylko, pod jej pozorem, sformułowanie programu narodowego, którego otwarcie nikt w Polsce sformułować nie może. Przeciwnikiem Polski nie jest ideologia, ale przemoc fizyczna obcego państwa.

Autor „Boju o światopogląd“ tego wszystkiego najwidoczniej nie wie, nie wie w szczególności, że Polska katolicka, t. zn. taka sama wczoraj, dziś i jutro, nie chce słyszeć o kompromisach, ustępstwach ani ofertach współpracy ze strony marksistów. Cytując ofertę komunisty Żółkiewskiego w „Kuźnicy“ pod adresem katolików i ich organu „Tygodnika Powszechnego“ w Krakowie, cieszy się z tej oferty i z góry ją w imieniu Polaków w Kraju przyjmuje, bo ona pozwoli „odbudować“, ale nie wie nawet, że na tę ofertę właśnie „Tygodnik Powszechny“ tak odpowiedział: „My odbudowujemy wspólny dom. Gdyby nie praca katolickich mas — nie byłoby i odbudowy. Jednakże nigdy nie przystaniemy na to, aby ściany tego domu wspierały się na fundamentach innych niż katolickie. Dążyć do realizacji w życiu zasad swej wiary, to jest też sprawa na serio. Do kogo pan wyciąga wspaniałomyślnym gestem rękę, panie Żółkiewski? Do olbrzymiej większości narodu polskiego?“ („Defilada“ 18. IV. 1946).

Tak jest. Realizacja zasad swej wiary to czasem ważniejsze, niż nawet „gromadzenie bogactw narodowych“.

Słusznie pisze p. Stanisław Szczygielski, kończąc swój artykuł, że„ Polacy z emigracji muszą być zorientowani, czego chce Polska dzisiejsza i dokąd zmierza“.



Leon Wyczółkowski. Drzewa.



Jan Wojnarski. Pieta.

Jerzy Pietrkiewicz (Anglia)

Stygmaty

I

Ja — stygmatyk wieczności
krwawię.

Szramy snów sprzed dzieciństwa
twarz wywołuje jak klisza.
Oddychać — oddychać nie głębiej,
wyżej!

Szczyty płuc niebem zajęte.
Nieba nie strawię.
Wiem: stygmatyczna cisza
pod gwiazd podkutym tętentem
wisi nad mymi dłońmi,
nad oczyma,
nad czołem —
i z życia trwogę wyżyma,
i siąpi przeczuciami
na dni od nudy gołe.

Boże, niegodnym Twych batogów
pokaleczony wiecznością
stygmatyk smutków,
szaleniec snów.

Za bliskoś,
za bliskoś.

Razi — porazi radość,
pali — popali miłość.

Patrz, płuca podziurawiłeś podmuchem parnym,
niebem się krztuszę
ołtarz ofiarny.

II

I oto
przetrącony mam dotyk,
zmiażdżony wzrok,
zduszony węch,
rozsadzony słuch.

Czas się usuwa pod nogami,
wieczność patrzy oczodołami.
Tylko kosmos — kościotrup kontrastów
kręci się wokół osi tęsknoty.

Ból ogłuchł, stęchł
i spuchł.
Miele się miazga mgły. Gwiazd ruch
na chmurach jak na chorych liczydłach.

O, nie zasypiać, raz nie zasnąć, raz nie rozesłać nocy,
raz nie przykryć się siatką szepczącą
zegara,
lecz na krzyku na wznak jak na marach
legnąć, wyzionąć ostatnią rozpacz,
aż się gwiezdne liczydła poplączą.

Bo
obnażyłeś mi świat ze zmysłów,
Boże.
I w pień wyciąłeś pięciornicę wrażeń,
iżbym był bliżej ciebie.
I oto niebo mi prysło,
gdy pięciorodną zdjąłeś obrożę,
kiedy przygniotłeś własnym ołtarzem.

Spod łaski Twojej kto mnie wygrzebie?

III

O, wydani na pastwę stygmatów,
którzy mnie zrozumiecie po jutrze
za progiem przeczuć
stojąc:

Bóg jest więzienną kratą,
piratem pobłąkanych snów,
w zmierzchu puszystym futrze
wytrych chowa, wyważy wieczór,
wykradnie nów.

O, natchnienie — chorobo wierszy,
Bóg się poezją zaraził pierwszy,
wicher roznosi po ludzkiej kniei
dżumę mistycznych epopei.

Co się rozkłada i umiera —
równe kwitnieniu.
Bóg kraty kuje, kraty otwiera
w świętym zdumieniu.

Śmierć ma szerokie ramiona,
szerokie ramiona ma ziemia,

Dłoń stygmatami natchniona
słowa zaciemnia.

Andrzej Bobkowski (Francja)

UŚMIECH Z GÓRY

Wchodzi się tu z wielkiego podwórza bocznymi schodami. Tam, na wprost` są te szerokie kamienie, z niebieskim dywanem opadającym z piątego piętra, jak kaskada. Nasze są drewnianym, sześciopiętrowym korkociągiem. Tamte wiodą do wielkich i statecznych mieszkań prawdziwych lokatorów. Nasze wkręcają się aż pod dach, biegnąc stromo do labiryntu korytarzy i pokoików „tych z góry", jak mówi pogardliwie konsjerżka. Dla niej nie jesteśmy lokatorami. Jako wolni ludzie paryskich dachów, nie uznajemy tyranii jaskiniowca z parterowej „loży".

Jacques, wartki pracownik Metra, powiedział jej raz, że kiedy on pluje z góry na dół, to jej się przez próg przelewa. Nie może mu tego przebaczyć. A gdy polewa rano wyłożone kafelkami podwórze, M. de Saint-Esprit, urzędnik państwowy, pyta zawsze z miłym uśmiechem: Ça pousse bien? Polska pokojówka hrabiego de Farges jest zbyt godna, by rozmawiać ze „stróżką"; jak przystało na Magdę, którą zwą Mademoiselle Madeleine. Nie mówiąc o tym, że gdy comtesse de Farges wyjeżdża, Magda całkowicie ją zastępuje i podobno nie tylko jada razem z M. le Comte przy jednym stole... Biały w różnokolorowe łaty piesek M. Guillou, farbiarza wrzosów, nieśmiertelników i innych wiecznych kwiatów do trwałych wieńców i na kominki, robi zawsze pod bramą to, co powinien robić na ulicy. Konsjerżka podejrzewa ich o zmowę, ale M. Guillou uśmiecha się i cedzi spod bretońskich wąsisk: „Quelle méchante bête". Mówiąc to, napewno nie myśli o swoim „Friquet". Z Eliane, modelką w domu mody „Ardanse" stosunki zerwane są od lat; Eliane zrobiła zamach stanu: nie odbiera żadnych listów. Chcąc uniknąć cenzury korespondencji, z której mogło by wynikać, że obnoszenie sukien na pokazach modeli u „Ardanse" nie jest jedynym źródłem jej dochodów, odbiera listy na poste-restante. Toteż często można słyszeć, jak wnikliwa „Madame la concierge" kwaka w narożnym bistro: „Ona w r ó c i ł a dziś po południu nie wyszedłszy rano", lub: „T a k i e w s t a j ą, gdy chcą wypocząć". Tu wojna jest wieczna. Ale ataki trafiają na uśmiech Eliane, na ten nasz uśmiech z góry.

Tam w górze nie ma gazu, nie ma elektryczności. Jest wiatr, słońce, księżyc i gwiazdy. Wzrok kładzie się na bezkresnym morzu dachów. Gdy jest pogoda, są one niebieskie i spokojne; gdy nadciągają chmury i wiatr zaczyna w nie walić gwałtownymi uderzeniami, stają się szare i zimne. Deszcz marszczy ich gładką powierzchnię, a z ich grzbietów, jak z grzbietów fal, wicher porywa tumany wody, by cisnąć nią z hukiem w oszklone luki nad nami. Rwie się na strzępy pajęczyna dalekiej wieży Eiffla, znika we mgle biała jak głowa cukru Sacré-Coeur. Wiatr łomoce drzwiami, chodzi po korytarzach; nieruchome, czarne zbroje osłon na kominach nadstawiają mu żelazną pierś w gwałtownych obrotach. A gdy znowu błyśnie słońce, gdy granatowe plamy nieba odbiją się w lśniących płaszczyznach, nastaje cisza, głęboka i dobra.

Wieczory są tu dłuższe, niż tam, w dole. Gdy na ulicach i w przepaścistych podwórkach jest ciemno, tu trwa długi półmrok. Potem zaczynają drgać

gwiazdy i światło księżyca, zimne i białe, zlewa się z ciepłym i żółtym blaskiem lampy naftowej. Rano, pierwsze wiązki promieni pomarańczowego słońca wpadają płaskim lotem tu; zapalają się czerwienią szyby małych okienek, różowią kominy. Nad czarnymi i milczącymi jeszcze kanionami ulic ścielą się niebieskawe opary. Z nich, według wzorów tajemnej alchemii, powstanie na resztę dnia paryska mgiełka.

I wiosna też jest tu prędzej. Zanim wystawy Vilmorin'a na Quai de Mégisserie zakwitną barwnymi torebkami nasion i „Samaritaine" zamieni się w wielki skład polewaczek, grabi i klatek z drobiem; zanim na Pont au Change zaczną rosnąć dwa razy w tygodniu szkółki drzewek i na chodnikach wzejdzie zielona szczotka sadzonek jarzyn i kwiatów, my już czujemy jej nadejście. Dzień za dniem wygina coraz bardziej łuk słońca, a zaspana mucha obsuwa się z szyby w swych pierwszych wędrówkach. Ćwierkanie wróbli jest inne, gdy kąpią się w rynnach, w wodzie stopionego szronu.

Mijały tu dnie jasne, noce spokojne; mijały zimy, krótkie wiosny. Letnie słońce walcowało blachę dachów na gorąco, studziła je jesień. Długo różowiły się one od neonów Montmartre'u, Bulwarów i Montparnasse'u. Dwadzieścia jeden salw ogni sztucznych rozsypywało się nad nimi co rok w bukiety czternastych lipców po tamtej wojnie. Potem przyszła znowu ciemność, rozświetlana łunami pożarów, odległych wybuchów i gwiazdami świetlnych pocisków. Dawny, dobroduszny uśmiech z góry stał się złośliwy i podziemny.

W te długie wieczory M. Guillou głośniej czytał Ewangelię po łacinie, źle wymawiając niezrozumiałe słowa. Na procesjach jego kongregacji podziwiali towarzysze tę jego łacinę bardziej niżeli piękną chorągiew, z której jest zawsze tak dumny. Teraz biegał na jakieś tajemnicze zebrania i miewał długie narady z Jacques'em. M. de Saint-Esprit zrobił się małomówny i często chodził do pracy z teczką, wypchaną jakimiś papierami. Do Jacques'a schodzili się młodzi ludzie w kanadyjkach, tupiąc ciężkimi butami po schodach. Eliane czytała bezkresne „Przeminęło z Wiatrem" i „Muson", zbiegając z Magdą na dół gdy zaczynały wyć syreny.

W głębokim dworcu Metra „Pigalle" bywało wesoło. Czasem, późnym wieczorem, widziało się, jak z tamtych wielkich schodów wyślizgiwała się smukła sylwetka wysokiego chłopaka w bardzo nowym i niezgrabnym ubraniu. Magda mówiła, że raz słyszała, jak ktoś rozmawiał z jednym z nich po angielsku. Uśmiechnęliśmy się i Jacques powiedział: „Tam, na dole, też są porządni ludzie". Jeden był język, jeden sens zabronionych słów.

I znowu uśmiech stał się, jak dawniej, dobroduszny, gdy po kilku dniach strzałów ryknęły w sierpniowy wieczór na wszystkich ulicach motory G. M-ów. M. de Saint-Esprit patrzył z pogardą na swoją plantację tytoniu w paczkach na balkonie i pochylony nad trójkolorowym sztandarem palił „Lucky". Eliane i Magda żuły gumę, jak setki tysięcy długich, zielonych chłopców w ciężkich hełmach i mówiły: „O. K." Jacques z patosem Cyrana opowiadał o swoich walkach w dzielnicy Batignolles, a M. Guillou farbował w skupieniu dużo kwiatów do wielu wieńców. Dobry uśmiech mieli wszyscy, nawet konsjerżka.

Dalej mijały dnie. Tej zimy żelazne piecyki były tak samo zimne, jak dachy i rozlana woda marzła na kamiennej posadzce małych pokoików. Ale uśmiechaliśmy się.

Ten uśmiech, już bledszy, rozjaśnił twarze, gdy w majową noc trysnęły nad Łukiem Tryumfalnym ognie sztuczne i od Pól Elizejskich dochodził aż tu gwar tłumu. Ale równocześnie M. de Saint-Esprit szeptał cicho w młode listki piennego groszku na balkonie: „C'est pas ça, c'est pas ça...", chociaż Jacques obcałowywał Magdę i Eliane, krzycząc: „Zwyciężyliśmy".

Różowiły się kominy rano, zapadały wieczory. Ale nieprzerwana dotąd nić tej ciągliwości odwiecznej, tak silnej tu w świetle naftowych lamp, w syku spirytusowej maszynki, zerwała się gdzieś. Zaczęło się gubić wiele nanizanych na nią, jak paciorki, dni równych, pełnych spokoju, dobroci i zrozumienia. Tam, w dole, trąbią z powrotem czerwone taksówki i odzywają się ochrypłym basem waltorni zielone autobusy. Lśnią neonami chromowo-szklane bistra i powróciło gadulstwo. Uczony „épicier" wykłada historię Francji olśnionym klientkom: „Vous savez, kiedy Ludwik XVI siedział z rodziną w Temple, to na nich i na dwanaście osób służby szło dziennie 100 funtów mięsa, 30 funtów słoniny i 70 jaj — oui, madame — s i e d e m d z i e s i ą t j a j..."

— Quelle honte — dyszy obrażona równość, jakby chodziło o jakieś ostatnie nadużycie Ministerstwa Wyżywienia.

Coś wraca, coś łudzi, że to, co dotąd zawsze wracało, zjawi się i tym razem. Ale w tym świecie dotąd prostym, coś złamało się także wpół. Nie wraca spokój dni i tu, wysoko. Dobroć i dobroduszność chowają się coraz częściej w zakamarkach pod dachami i choć spojrzenia pozostały te same, widać w nich szare i zimne błyski. Pękło zrozumienie, bo choć wróciły i dźwięczą głośno zakazane tak długo słowa, zmienił się ich sens.

Zniecierpliwienie i głucha, nieokreślona obawa, przenikająca do głębi, rodzą gwałtowność lub przypływy zrezygnowanej bezcelowości. Nie dlatego, że tak rzadko rozchodzi się dziś zapach smażonego na oliwie mięsa, a kolorowe i owocowe wózki przekupek na dole stały się jednostajne i ubogie. Bunt nie wyraża się gorzkim skrzywieniem warg lub cynicznym szeptem. Bunt łączy, jak łączył w tych latach ciemności, a nie rozdziela i łamie. Gdzieś z dołu, może razem z głosami sprzedawców niezliczonych gazet, może ze słowami, co nie uległszy zmianie, mówią w nich dziś kilkoma językami w tej samej mowie, wślizgnęła się zaczepna pogarda myśli drugiego i zabiła nawet obojętność.

Wąsaty M. Guillou sztywno mija Jacques'a, niosąc swoją chorągiew w ceratowym futerale, jak pikę Dawniej młody pracownik Metra z uśmiechem słuchał, że kosztowała ona 3.000 Frs. przed wojną, bez drzewca, bez okuć i bez futerału; usypiając w monotonnym szmerze półgłośnych słów, czytanych za ścianą wśród suchych kwiatów, czuł i rozumiał ich prawdę napewno, nie rozumiejąc dźwięków, z których zrodził się jego język: „Beati qvi persecutionem patiuntur propter justitiam..."

Dziś gardzi sąsiadem, bo czytał — w wyjątkach — list pasterski Kardynała Tuluzy: „Nazizm nazywa się dziś demokracją, te same metody postępowania, te same..." Przedtem Jacques i kardynał walczyli tak samo i o to samo.

W niedzielny poranek słońca i niebieskich dachów, gdy odwieczne „Zaproszenie do walca" wiruje w pokoju Eliane na płycie gramofonowej, a na balkonie poniżej puchate króliki ruszają pyszczkami, spokój jest tylko pozorny. Jacques spogląda przez okno na rozlaną białość Sacré-Coeur, jak któryś z jego przodków spoglądał na Bastylię. Nie widzi tego, co dostrzegał jeszcze tak nie-

dawno. I będzie się uczył z małej broszury, że już w programie uchwalonym w Gotha w r. 1875 żądano podziału według równych praw i rozsądnych potrzeb jednostek. Z dumą powtórzy: „Już w r. 1875...“ Już dawno mówił podobnie kto inny i dziś sędziwy Monseigneur powtórzy: „Trzeba zmienić porządek, trzeba uczynić go sprawiedliwym, bardziej braterskim...“ Jeden dobry M. Guillou, zapytany nieraz o byle co, nagle zniecierpliwi się i machnie liliowymi od farby rękami. Wyraz „Salauds“, kierowany dawniej tylko w jedną stronę, pada dziś często spod wąsów pod innym adresem. A przecież on tak samo pracuje, jak Jacques i nie chce władzy człowieka nad człowiekiem. Ale demon rozszczepionych słów doprowadza do tego, że Jacques często bulgoce w uniesieniu: „Lenin mówił, iż nie jest ważne czy zginie trzy czwarte ludzkości, byleby jedna czwarta, pozostała przy życiu, była z nami“. Wtedy M. Guillou obrzuca go spojrzeniem, w którym mówi mu to samo, wyobrażając sobie jednak inaczej przekonania tej pozostałej przy życiu części.

W wąskich korytarzach mijają się już inni ludzie i rzadziej pukają wieczorami do swych wąskich drzwi. Z dołu, może z wilgotnych piwnic, wczołgała się aż tu nienawiść.

Wiatr zmierzwia w paczkach na balkonach młodą zieleń pelargonii i wielkimi płatami uderzeń opada na dachy. Gdy uspokoją się sprawy dnia i pluszowy mrok opada na miasto a w dole krztusi się stary samochód wśród brzęku akordeonu, M. de Saint-Esprit stara się odgadnąć tajemnicę tego, co nie może już wrócić. — „Konfucjusz głosił, iż pierwszym obowiązkiem nowowstępującego na tron władcy nadwyrężonego imperium było odbudowanie definicji, ustalenie treści słów, ponieważ każde słowo działa nieuchronnie zgodnie ze swą treścią“. Te słowa działają dziś w myśl treści rozumianej inaczej przez Jacques'a, inaczej przez Guillou. Definicje stały się igraszką uczuć. Wolność? Każdy z nich chciałby jej tylko dla siebie? Równość? Między kim? Czy między tymi, których nowa Deklaracja praw podzieliła na ludzi i na pracowników? Na ludzi i nadludzi? Jacques uważa się dziś za nadczłowieka. A gdy zrobi to jeden, zaczyna się licytacja nieludzka w swych skutkach... Jacques'owi wydaje się, że rozwiązał problem społeczny, bo nie widzi, że dzień, w którym zostanie on rozwiązany, będzie także ostatnim dniem naszego istnienia. Do tego, co mistrze Jacques'a podsumowali sto lat temu i co jeszcze ciągle ich następcy każą mu uważać za skończony rachunek, doszły i dochodzą stale nowe liczby, coraz szybciej i coraz większe... Gaillou ma może nad nim tę wyższość, że podświadomie bardziej wierzy w wieczną ewolucję ludzkości i dlatego instynktownie nienawidzi wszystkich ram, w które chce się ją wcisnąć siłą, ustalić w jednej formie. Bo dla niego nie ustrój, lecz człowiek zbliżony do Tego, o którym czyta po łacinie, jest ostatnim wyrazem ewolucji człowieka. Dlatego nie mogą się porozumieć. Jacques'owi wydaje się, że horyzont dostrzeżony jego oczami jest brzegiem: tymczasem za tym horyzontem jest inny. Ale Jacques nie dostrzega go, bo nie idzie naprzód i nie chce iść naprzód, choć wydaje mu się, że kroczy na czele... „C'est pas ça, c'est pas ça...“

Mniej cieszy dziś nastroszony prosto w górę dym z kominów, zwiastujący pogodę, mniej uspokaja miarowy tik-tak budzika idącego miarowo wprzód. — Ku czemu? Śmieszna uwaga Eliane, że królik M. Guillou tak rusza pyszczkiem, jakby miał sztuczne szczęki źle dopasowane, nie budzi uśmiechu i pęk żonkili na jej toaletce nie jest tak złoty, jak dawniej. Gdy konsjerżka wyjdzie z „loży“



Jan Ziarnko. Tryumf Bakchusa.



Józef Pankiewicz. Akwaforta.

krokiem przetłuszczonej kaczki i kwaknie coś złośliwego, rzadziej pada wesoła odpowiedź.

Jak brudna, jesienna mgła, wiszą często nad dachami obawa i zawód. Wślizgują się na nasze schody, łubią chodzić po tamtych. Magda nieraz z złośliwym zadowoleniem opowiada o nich, a Jacques uśmiecha się tajemniczo. M. de Saint-Esprit mniej czyta i gdy tylko może, biega do Hotel Drout brzdąkać na wystawionych na licytację fortepianach. Twierdzi, że go to uspokaja i nic nie kosztuje. Farbuje swoje kwiatki i trawki M. Goillou. Wieczorem zapala lampę naftową, zakłada okulary i czyta półgłosem po łacinie. Z uchylonego na balkon okna dolatują czasem całe zdania i padają w mrok nad miastem. Płyną słowa mocne, jasne, nie faryzejskie: — „Quid me tentatis hypocritae?...“

Uśmiecha się stary Guillou, łagodnie i szczerze. Jak dawniej. Może czuje, że niewzruszone prawdy płyną jedynie stamtąd, z nad dachów.....

Bronisław Kamiński (Francja)

LUNAPARK DON KICHOTA

Poniższy fragment jest 2 rozdziałem powieści eksperymentalnej. Jej 1 rozdział drukowany był przed wojną w tygodniku »PION«.

Przyp. Red.

ROZDZIAŁ II

Atrament i pióro, którym Bóg pisał dziesięcioro przykazań, spoczywają na biurku i proszą o realizację wizji. Nic więc dziwnego, że z podbródków wyciągają tasiemki i układają je w kolorowe dywany. Głowa. Właśnie głowa jest oceanem.

Przez podmiejską łączkę dreptały podarte i niewyczyszczone buty. Strzępki zwisające ze spodni opadały na te buty jak łzy świętej Agnieszki i uderzały filuternie jeden o drugi. Wyżej bowiem była światłość. Spodnie lśniły jak uczesany kot angorski. Lśniły też oczy właściciela spodni. Przez podmiejską łączkę szedł ubogi student filozofii: Henryk Żurowski.

Gdy zobaczył z trawy wyłaniające się ręce swojej matki, która oddała ciało panu Sigmuntowi, szpiclowi carskiemu, przyśpieszył kroku i szybko wtulił się w cień odrapanych starych domów. W końcu wbiegł w otwartą bramę walącej się na poły kamienicy, przebiegł szybko przez schody, szarpnął drzwi i znalazł się w swoim pokoiku pełnym rupieci, papierów i kurzu.

Żurowski wstąpił na statek, aby odbyć podróż dalszą niż wielu awanturników i żeglarzy. I wypłynął w wiatry huczące i śpiewne. Wychodził ze statku i puszczał się konno lub piechotą w szerokie pejzaże.

Kiedy schylił się w ukłonie przed starcem o śniadej cerze i o ogniu w głosie i w oczach...

Świat począł się z ognia i wody — rzekł starzec — ich połączenie dało atom i życie.

Uścisnęli swoje cienie, ucałowali błyski swoich źrenic i rozeszli się.

Jeszcze nie było ani piramid ani sfinksa gdy przybył do Egiptu. Kapłan o szacie białej i twarzy z kamienia tłómaczył o jedynym bogu i o ludziach, którym należy dawać symbole i niewole, którym należy opowiadać baśnie, aby nie poodgryzali skóry z palców i aby mogli żyć.

Lecz dopiero rozmowa z Diogenesem na rynku ateńskim i kopniak, który otrzymał od Diogenesa w pośladek, wytrąciły Henryka z marzycielskości i entuzjazmu.

Daj mi wody i ciszy — krzyknął do przechodnia Ateńczyka.

Dam ci wodę wesela i dam ci ciszę ognia. Patrz w wiatr, w słońce, w strumienie i w ludzi. Nic nie ma sensu i nic nie jest trwałe. Ani nawet rozkosz nie jest trwała, a tak jej mamy mało. Zaczerpnij wina dzbanem i weź kobiet sto tysięcy i pójdź z nami tam, gdzie grają fleciści i tańczą smukłogłowe i czarne boginie, pocałunkami muskając oczy. Pójdź do nas w ogrody Epikura!

Henryk szedł przez Ateny ku dźwiękom fletni i śpiewu; mijając studnie na rynku spostrzegł grubą przysadkowatą postać o wielkiej łysej głowie, komicznie podrygującą nogami, a rękami klepiącą się po pępku swego tłustego brzucha.

Wiem, że nic nie wiem, a więc piję i tańczę, a ty Ksantypo — postać spojrzała ku rudowłosej Greczynce o za wielkich błękitnych oczach — nachyl się ku przechodzącemu cudzoziemcowi i daj mu kwiat twojego pocałunku, aby więcej nie szukał.

Ogrody i baśnie. Ogrody i kwiaty. Ogrody i rozkosz.

A pod arkadami przechadzał się sędziwy Plato i głaskał twarz różowego młodzieńca mówiąc o idei miłości, o miłości bez pożądania i bez formy, o nieskończoności.

Palmy schylały się w poszumie wiatrów. Przez cieniste aleje przechadzali się ludzie i był spokój na ich twarzach i dostatek. Tylko niepotrzebnie Prometeusz zerwał się z łańcuchów i pochodnią swoją popalił rzęsy spokojnym jegomościom.

Henryk szedł. Wiatr grał w fałdach jego szaty. Przed burzą i księżycem był zmuszony schronić się w dom owinięty pajęczynami. A była to pracownia Arystotelesa. Starzec przygarbiony już nieco i siwy jak gołąbek układał trójkąty i linie. Chwytał promienie słońca jak warkocze dziewczęce i wplatał je w pergaminy grube i pobrudzone od śliny spływającej mu stale spod języka. Szeptał coś o realiźmie i o segregacji zjawisk, potem wtulił się w grubą poduszkę i usnął, chrapaniem swoim drapiąc podbródki gwiazd.

Henryk szedł przez drogi, ścieżki, lasy i bezdroża. Szedł dla samej przyjemności zmiany krajobrazu i dla rozkoszy topienia się we wrażeniach. Szedł, aby zagubić swój niepokój i tęsknotę za spokojem. Krople deszczu spadały na jego kapelusz, a kurz na butach zamieniał się w błoto. I wszedł w pustynne piaski spalone ogniem i żarem wyrzeczenia. Przy wydmie piaszczystej spotkał kaznodzieję, a obok tłum pokornie słuchający i czyniący pokutę.

Opuść ojca swego i matkę swoją, sprzedaj majętności swoje i pójdź za mną, a dam ci szczęście wieczne. Utnij rękę, jeśli ręka cię kusi; wyłup oko jeśli ma grzeszne pożądania i idź za mną, a dam ci spokój wieczny.

I zobaczył Henryk ów tłum idący za kaznodzieją. Ale ów tłum zaczął mordować innowierców w imię szczęścia i w imię miłości.

Od straganiarza, który sprzedawał grzebienie i szczotki, kupił szczotkę do obuwia. Oczyścił buty i powoli zaczął iść w kierunku swego statku. Opodal rozkrzyczana masa podnosiła swoje namiętności i złość. Plwali na smukłą postać czarnowłosego proroka i na jego wielkie, dobre i mądre oczy.

Na krzyż z nim, a krew jego niech spadnie na nas i nasze potomstwo.

I ukrzyżowali.

Kotwica wypuściła żagle, które objął wiatr. Pod stopami błyszczało morze jak szerokie lustro. Huragany przechodziły przez morze, lecz zawsze pozostawał niemy ryk rekinów i chlupot fal. Złotousty Cicero rzucał klątwy na Katylinę, który przecież nie chciał niczego innego jak tylko zrywać owoce z zielonych drzew. Mądry Seneka jak Salomon wypowiadał sądy o ludzkich namiętnościach i z szerokim zdziwieniem patrzył na piękną i spokojną śmierć patrycjusza Petroniusza. Lecz Henryk nie opuścił statku. Dopiero w słonecznej

Hiszpanii dosiadł białego konia araba i zaczął wędrować poprzez twarde drogi hiszpańskie i wąwozy. Gdy przejeżdżał przez Walencję, wielki inkwizytor wydał rozkaz schwytania go i spalenia na stosie.

U nas nie trzeba szukać — krzyczał inkwizytor — my nie chcemy niepokoju ani łaknących, w ciemnych korytarzach klasztorów jest wypoczynek a wierzyć wolno tylko w to, co napisano. Chciałbyś może wyjść do tłumu i judzić go, cudzoziemcze? Tłum jest po to, aby spoczywał w jarzmie.

W momencie, gdy podchodzili do Henryka siepacze inkwizycji, koń białowłosy arab przemienił się w potężnego gryfa i wykonał skok ponad głowami przelęknionych zakonników, którzy padli na twarze i wzywali Boga myśląc, że Henryk jest aniołem apokaliptycznym.

A Henryk dotarł do granic winodajnej Galii i znów koń jego kopytami uderzał o drogi i kamienie. W którymś z miast spotkał brodatego wygnańca Leonarda Da Vinci i wtopił się po prostu w cichą miękkość kompozycji mistrza florenckiego. Ale szum drzew, falowanie łanów i winne grona kusiły do dalszej podróży. I gdzieś w jakimś małym porcie francuskim znowu przywitał starego wilka morskiego, kapitana statku, którym podróżował.

Płynął.

W zaludnionym porcie holenderskim młody chłopiec obdartus przyleciał, aby wziąć walizki Henryka. Wśród różnobarwnego tłumu Henryk czuł się nieco nieswojo i jakby zagubiony. Na uliczkach handlarze wychwalali swoje towary. Wymalowane kurtyzany łasiły się do powietrza jak koty. W wielkim warsztacie szlifierza szkieł był cień. Tysiące drobnych szkiełek leżało na podłodze i kusiło oczy jak baśń o kwiatuszkach i borach. Szlifierz, gruby mężczyzna o mięsistych wargach, stał przed kamieniem, na którym płonął ogień. Różnej wielkości pilniki, szkła i brylanty leżały na szerokich stołach, a szlifierz zgarniał je ręką i mieszał razem w wielkim worze skórzanym.

Różnokolorowość świata to tylko złudzenie. Nie ma różności. Nie ma rozdziału między duchem a materią. Wszystko jest jednością absolutną i doskonałą.

Szlifierz rękoma głaskał powietrze i mruczał z zadowolenia. A pod oknami jego pracowni przechodzili brodaci Żydzi i pluli na próg jego domu wrzeszcząc:

Przeklęty niech będzie heretyk i odstępca. Niech cień jego zejdzie z naszych oczu, a stopa jego niech nie postanie tam, gdzie my stąpamy.

Szlifierz tymczasem wskazał na czarnych przechodniów ręką i rzekł:

Zaślepieni fanatycy. Do wszystkich chciałbym się zbliżyć z miłością i łagodnością. Najbliżsi oddają mi nienawiść. Lecz nie ma miłości ani nienawiści, jest jedność.

Szlifierz jak postument stanął w pośrodku pracowni, tam gdzie smuga słońca padała przez wysokie okno, i nawet nie zauważył jak Henryk wycofał się przez uchylone drzwi.

Podróżnik niespokojnym oddechem chwytał wilgotne powietrze. Zaniosły go oczy na ciemne malaryczne wyspy albiońskie, aby zatrzymać się przy wielkim mistyku, który lubiał powtarzać słowa Kartezjusza: Myślę, więc jestem, i nastawiał teleskop, przyrządy geometryczne i fizyczne.

Patrz młodzieńcze! Gwiazdy prują przestrzenie, aby się spotkać ze sobą. Ludzie się też spotykają jak gwiazdy i to jest miłość.

Tłusty Niemiec z Lipska o długich włosach roztaczał przed Henrykiem idee różnolitości świata i Boga, który pływa nad różnolitym światem i uskramia żywioły.

Już dość! Wybieżaj poza karty książki i patrz w ludzkie życie. Nic nie możesz poznać, twoje zmysły budują formy i barwy, twoje odczucia to rzeczywistość — krzyczał chudy profesor lubiący siadywać przy oknie na miękkim fotelu i patrzeć w Bałtyk.

Każda rzecz jest i jej nie ma. Istnieje ciągła zmienność i ciągły postęp, ale ja jestem już ukoronowaniem postępu. Poza moją dialektykę i poza cesarstwo niemieckie nic nie może wyjść naprzód.

Jakimi głupimi są wszyscy, którzy filozofują. Jedynie realną rzeczą jest to, co można uchwycić: materia i jej siła. Fantazjotwórstwo, chora megalomania i zawracanie ludziom w głowie. Oto jest życie. Tłumy przewalają się po ulicach. Spod więzień zgłodniali nędzarze wyciągają ogryzki trawy i żują. Jakimś ludziom brakuje nafty, innym sytości i ot: żelazne maszyny plują kulomiotami, a ponad ludźmi krzyczą głośniki radiowe i podniecają bestię: tłum, jego nienawiść i jego głód. Już spod skraju horyzontu chcą wyjść inni i dać biały pokój i pojednanie ludziom. Ale policja działa jak automat.

Niech krew wasze białe sztandary zamieni na czerwone.

I zamieniła.

Spod drzew wytaczają się warczące motory i tratują zboże, domy i ręce.

Wojna! Wojna!

Statek Henryka rozbił się o jedną ze skał na morzu północym i powoli ginął w morskich odmętach. Jedynie tylko jedna szalupa unosiła się na morzu. Siedział w niej Henryk drżący od niepokoju i bojaźni.

Henryk Żurowski zamknął karty książki.

Tak, najlepiej być Don Kichotem i mieć swoją rzeczywistość i swoje urojenia.

W tej właśnie chwili wyleciała na ulicę z garnkiem wrzącej wody pani Tarnawiecka, właścicielka domu, w którym mieszkał ów ubogi student filozofii i zaczęła krzyczeć z przerażeniem, które znać było w jej oczach i rozczochranych włosach.

Ludzie, ratujcie, pan Żurowski zwariował!

Pani Tarnawiecka oblizywała końce uszów ogromnie długim, drżącym językiem.



List z Londynu

Z końcem roku 1945 stało się jasne — ostatecznie — że czas już wielki ku temu, abyśmy z nastrojów usiłowań krótkodystansowych, biegów szturmowych o tempie szarpanym, przestawili się na technikę długodystansową, abyśmy chwycili to, co zawodnicy narciarscy nazywają drugim oddechem.

Drugi oddech, zarazem długi oddech, działa cudy. Wlewa on nowe siły w organizm czujący się u końca wszelkich sił po paroksyźmie wytężeń na krótką metę. Długi oddech, do głębi płuc, daje nowy rytm serca, wytężony ale równy. Długi oddech, zaczerpnięty po nieprzytomnym, ślepym zrywie, pozwala nawet wzrokowi na zarejestrowanie piękna otaczającego krajobrazu. Przezwyciężanie trudności, zdeterminowane, spokojne i sprawne — przy długim oddechu — pozwala narastać świadomości, iż doświadczenia, „które nas nie złamały, czynią nas silniejszymi nawet.

* * *

Z taką myślą — długodystansową — myślałem nieraz, z końcem roku 1945, o tytule odpowiednim dla czasopisma, które mogłoby pomóc w integracji polskiej myśli w chwili obecnej.

Zwidywały mi się różne tytuły-symbole: „Wytrwanie“, „Nasze Tempo“, „Długa Fala“ i t. p. Myśl biegła ku „Ludzkiej Myśli Piramidzie“, z której wieszczowie sprzed stulecia mogli dojrzeć dalekie „Perspektywy“ i zatrzymała się na symbolu: „Nasze Horyzonty“.

Po paru tygodniach zobaczyłem na stoliku księgarskim już całkiem urzeczywistnione — w druku — „Horyzonty“. Ich numer pierwszy.

Doznałem osobliwego wrażenia: Telepatia czy nie telepatia? Chyba że nie, ale są chyba myśli, które są niejako w powietrzu, jak to mówiono gdy nowe odkrycia naukowe kiełkowały równocześnie i niezależnie w szeregu przodujących umysłów.

Są myśli, które są „na falach eteru“ w wibracjach mózgów zdolnych do samodzielnej twórczości, mózgach nie zagłuszonych jazgotem materialnym, którego dysonanse pakują w cierpliwy eter potęgi setek kilowatów miliarderskich radiostacyj. Jazgoty-męty opadną. Myśli przetrwają, pójdą dalej, na długim oddechu. Pójdą dalej, jeżeli ku temu będą miały wolę. Wolę prawdziwą.

* * *

Wiele widziałem krajobrazów. Najdalsze jednak perspektywy, najrozleglejsze horyzonty, otwierały mi sie nieraz właśnie w polskim klimacie, materialnym, intelektualnym i duchowym.

Pierwszy numer „Horyzontów“ przynosi obrazek: Jesienny Wiatr. Może to być dzieło rysunkowe ręki ludzkiej — na granicy fotografii. Może to być dzieło soczewek aparatu, któremu umiano nakazać tak spojrzeć na przyrodę jak patrzy ludzka źrenica.

Tak czy owak, obrazek ten jest jakby z polskiego klimatu, z polskiego krajobrazu. Jeżeli zaś nawet jest uchwycony poza Polską, jest jak gdyby Polski Fata Morganą. Myśl ta trwa przy czytaniu „Horyzontów“.

Obrazek „Wiatr Jesienny“ — dla mnie — jest niemal dokładnym obrazem ze ścieżek karpackich, którymi tak często chadzałem. Tak, to są połoniny Działów ciągnących się od Mroźnicy w kierunku na Orów. Las po lewej stronie opada stromymi zboczami ku północy ku Tustanowicom i Borysławowi. Czarny grzbiecik widniejący w oddali osłania kocioł Białokiernicy ponad Truskawcem. Połoniną, tam na prawo, wiodą ścieżki ku dawnemu zamkowi Tustań — Olbrachtowych rycerzy, w dzisiejszym Uryczu. Poza nimi pra-słowiańskie, czy pralechickie, uroczyszcza Bubniszcz i Dobrohostowa, z których „Buby“, może Dobrogosta, wmurowano w ścianę Kazimierzowskiej Fary w Drohobyczu.

Za przenoszenie nas w polski klimat „Horyzontom“ składam dzięki.

Stanisław Wiktor Szczepanowski

GŁOSY PRASY

„Diariusz kultury polskiej 1945". Lutowy numer miesięcznika literacko-krytycznego „Twórczość" przynosi pozycję bardzo wartościową „Diariusz kultury polskiej 1945". Piotr Grzegorczyk zestawia tutaj na pełnych 40 stronach w porządku chronologicznym wydarzenia kulturalne ubiegłego roku. Wśród 679 pozycji odnaleźć można obok suchych zapisków faktów wiele wiadomości szczegółowych, związanych z pracami organizacyjnymi nad odbudową szkolnictwa wyższego, teatru, prasy, informacji dotyczących celów i składu osobowego towarzystw naukowych i literackich, tematów omawianych na posiedzeniach i zebraniach, a nawet wyjątków z ideowych przemówień i deklaracji. Na podstawie tej cennej pracy łatwo sobie odtworzyć pełną historię poczynań zmierzających do odbudowy życia kulturalnego naszego kraju, tak mocno dotkniętego zniszczeniem. Widać także, że lista strat kultury polskiej dotąd jeszcze nie jest zamknięta. Jakże często powtarzają się krzyżyki żałobne obok nazwisk ludzi nauki i sztuki! Tak duża śmiertelność jest jeszcze jedną bolesną konsekwencją wojny.

Samo zestawienie wydarzeń poprzedził autor zwięzłymi uwagami wstępnymi, w których ukazuje zasadnicze rysy charakterystyczne polskiego życia kulturalnego w tym przełomowym roku. Oto one:

1. „przesunięcia geokulturowe: odcięto ogniska tak dawne i poważne, jak Lwów i Wilno (nie licząc pomniejszych), odzyskano natomiast, zdawało się na wieki stracone, zachodnie: Wrocław, Gdańsk, Szczecin. Polska przesunęła się kulturalnie ku Zachodowi";

2. „zupełna decentralizacja kulturalna. Spowodowało ją potworne w rozmiarach i skutkach zniweczenie stolicy. Warszawa utraciła (przejściowo) przedwojenne stanowisko przodujące, ekspansywne, promieniujące i atrakcyjne. Groźne skutki tej nienaturalnej decentralizacji długo ciążyć będą na normalnym rozwoju naszej kultury. Wystarczy przypomnieć, że do września 39 roku wszystkie niemal głębsze impulsy kulturalne wychodziły z Warszawy. Skupiała w sobie więcej niż połowę całej produkcji wydawniczej państwa (dzisiaj około 10 procent), posiadała około dwudziestu pism codziennych i czterystu zrzeszonych w syndykacie dziennikarzy (obecnie: sześć dzienników), setki tygodników i miesięczników. Była głównym ogniskiem literackim; dwie piąte wszystkich teatrów grało w Warszawie. Zatrudniała w wyższych uczelniach prawie 40 procent sił naukowych w kraju, gromadziła największą liczbę studentów, miała największe biblioteki, archiwa, pracownie, muzea, zbiory. Wszystko to zostało rozbite i zniszczone, a wielkości szkód nie zdołano nawet w pełni zarejestrować.

Tego przodującego stanowiska Warszawy nie przejęło żadne miasto, bo przejąć nie mogło. Kraków, najmniej zniszczony, udzielił schronienia największej stosunkowo ilości uczonych i literatów. Wpłynęło to niewątpliwie pobudzająco na ożywienie jego dość stężałej atmosfery kulturalnej, wzmogło aktywność życia literackiego i teatralnego, zwiększyło niepomiernie ruch tłoczni drukarskich. Korzystne zmiany nastąpiły w Łodzi, Lublinie, Toruniu; głównie dzięki kreowaniu w nich szkół wyższych, miasta te stały się ambitnymi i żywymi ośrodkami. Poznań i Bydgoszcz solidnie pracują nad odrobieniem własnych czołowych stanowisk regionalnych, dążąc do samowystarczalności, unikając modnych wzorków. Wybrzeże wciąga się w pracę kulturalną coraz intensywniej, podobnie jak nowe miasta odzyskane, wymagające wprost zabudowy kulturalnej, a łącznie z tym ogromnego wysiłku wymykającego się przeważnie naszej rejestracji. Ważną rolę spełniają Katowice, pełen inicjatywy ośrodek „opiekuńczy" Ziem śląskich";

3. „renowacja kulturalna. Po sześciu niemal latach bezprzykładnej, planowej i złośliwej dewastacji kulturalnej, Polska, zanim umilkł jeszcze szczęk oręża, staje natychmiast do odbudowy przede wszystkim szkolnictwa niższego, średniego i wyższego; upowszechnia je i zwolna reformuje. Powstają nowe typy szkół zawodowych (m. in. muzycznych, plastycznych) zwłaszcza rolniczych. Wykonanie dekretu o reformie rolnej wpłynęło na przeobrażenia kulturalne, przez wyłączenie dużej sieci ośrodków szkolnych (od 10—80 ha) stwarzając podstawę egzystencji szkolnictwu rolniczemu (zrealizowanemu w 60 proc. w zakresie szkół średnich i licealnych, w 30 proc. w zakresie rolniczych szkół gminnych) oraz uniwersytetom ludowym, którym określono statut ramowy..."

Głód wiedzy sprawia, że młodzieży „nie może pomieścić dwadzieścia pięć szkół akademickich (w tym 15 państwowych). Brak 13.500 nauczycieli i 3.000 szkół powszechnych, ale

naukę pobiera już z górą trzy miliony dzieci. Wznawiają aktywność towarzystwa naukowe na czele z Akademią Umiejętności, której byt podcięto, niestety, przez odebranie majątków donacyjnych. Brak jeszcze wielu najważniejszych organów naukowych, ale już pojawiły się: Sprawozdania Polskiej Akademii Umiejętności, Naukowego Towarzystwa Warszawskiego, Fundamenta Mathematicae, osiem czasopism lekarskich, kilka technicznych i inne";

4. „wyraźna tendencja do formowania życia kulturalnego w ramach organizacji zawodowych (stanowiących często zarazem ciała kwalifikujące). Powstają więc, lub wznawiają czynność związki zawodowe: literatów, plastyków, muzyków, kompozytorów, aktorów, profesorów, nauczycieli, architektów etc. Wiąże się to również z dążnościami do planowania kulturalnego sięgającego w takie dziedziny jak teatr, prasa i wytwórczość filmowa oraz organizacja rynku odbiorców. Patronuje tym poczynaniom Ministerstwo Kultury i Sztuki, oficjalnie wszakże stojąc na stanowisku „całkowitej autonomii artystycznej". Państwo przejmuje też zwolna rolę mecenatorstwa kulturalnego przez stworzenie m. in. funduszu pensyjnego dla osób zasłużonych na polu nauki i sztuki. Upaństwowienie większych zakładów graficznych pozwala w pewnym zakiesie kierować produkcją wydawniczą, nader skąpą zwłaszcza w inicjatywie prywatnej. Plon edytorski 45 roku, mimo około tysiąca tytułów, jakościowo mocno nieciekawy, zdumiewał powszechnie brakiem powieści, najwięcej pożądanej strawy czytelniczej...

Ogólna liczba czasopism przekroczyła wprawdzie cyfrę 400 tytułów, ale prasa codzienna zmalała w stosunku do przedwojennej o 60 proc. (obecnie 43 dzienniki). Ilość tygodników i miesięczników poświęconych sprawom kulturalno-społecznym i literackim doszła w końcu roku do dwudziestu. Znamienny jest zupełny zanik sensacyjnej prasy brukowej. Teatr nie ujawnił również zainteresowania nową twórczością, o czym świadczy wystawienie w sumie zaledwie dziesięciu prapremier polskich. W repertuarze przeważały jednak znacznie (odmiennie niż przed wojną) rzeczy swojskie, z Zapolską (zwłaszcza „Moralność pani Dulskiej") i Fredrą na czele";

5. „uaktywnienie społeczno-kulturalne niektórych grup manifestujących, jak literaci, konieczność moralnego pionu w twórczości, lub ważność swej roli w dziele budowy nowej demokracji. Postulaty czysto kulturalne wiązane były z wyraźnymi dyrektywami ujmowania (np. nakazy realizmu, wzgląd na zamówienie społeczne etc.). Najosobliwsze wszelako zjawisko, to masowe wtargnięcie, jak się jeden z ludowych pisarzy wyraził, chłopów hurmem nie tylko do polityki, ale do literatury. Wypływa ono ze zrozumiałej chęci podniesienia niemego dotychczas głosu, pełnego ujawnienia swych kreatywnych możliwości, zajęcia poczesnego choćby ilościowo, stanowiska. To uaktywnienie kulturotwórcze nietkniętych dotąd rezerw narodowych, sprzęgnięte z rozrostem podmiotu naszych dziejów, wydaje się dominantą na krótkim odcinku obserwowanych przemian". *sts.*

W jakim czasie i jakim kosztem będzie odbudowana Warszawa. Na temat powyższy zamieszcza artykuł w numerze z 24 marca br. „SKARPA WARSZAWSKA", pismo poświęcone odbudowie stolicy. Oto jak na pytanie powyższe odpowiadają autorzy artykułu Barbara i Eugeniusz Olszewscy:

„Pojęcia odbudowy Warszawy nie należy mieszać z pojęciem jej „rozbudowy". Okres odbudowy będzie trwał tylko tak długo, dopóki Warszawa nie będzie mogła samodzielnie spełniać przeznaczonych jej funkcyj społecznych i dopóki nie wysunie się w terenie wszystkich zasadniczych elementów koncepcji urbanistycznej miasta...

„Przy braku długoletniego krajowego planu gospodarczego nie sposób jest p zewidzieć rozwoju sytuacji ekonomicznej w ciągu lat najbliższych. W konsekwencji nie można również ściśle określić długości trwania okresu odbudowy stolicy. Orientacyjnie czas ten jednak może być przyjęty na 10—15 lat".

Cały ten czas odbudowy autorowie rozbijają na 3 etapy od trzech do pięciu lat. Schematycznie, w zależności od potrzeb, określają oni pierwszy etap jako okres budownictwa mieszkaniowego, drugi — jako etap budownictwa przemysłowego i trzeci — jako etap budownictwa użyteczności publicznej.

Co do kwestii kosztów, autorowie piszą:

„Zaokrąglając można powiedzieć, że odbudowa Warszawy pochłonie około 200 miliardów zł., z czego 30% pójdzie na urządzenia użyteczności publicznej, a 70% na budynki.

Średni wydatek roczny przy 10-letnim okresie odbudowy musiałby wynosić 20 miliardów zł., przy 15-letnim 13 miliardów zł. Tempo prac jednakże nie będzie w ciągu całego okresu odbudowy jednakowe. Będzie się ono wzmagało z rozbudową komunikacji, przemysłu i innych

czynników, które na to tempo mają wpływ. Największe natężenie robót przewiduje się na koniec etapu. W tym czasie roczny wydatek może wynieść 10—30 miliardów zł."

„...Skala prac przy odbudowie w jej największym natężeniu musi być 2—3 razy większa, niż skala prac przedwojennych.

„Na rok 1946/7 Ministerstwo Odbudowy przewiduje na potrzeby stolicy kredyt około 4 miliardów zł. Jeśli doliczymy do tej sumy kwoty preliminowane w budżetach innych ministerstw (Komunikacji, Obrony Narodowej) oraz wkłady inicjatywy społecznej i prywatnej, otrzymamy w roku bieżącym łączny budżet odbudowy Warszawy w wysokości około 8 miliardów zł. Suma ta stanowi 4% całkowitego kosztu odbudowy, a 16% kosztu preliminowanego na pierwszy etap".

Straty bibliotek polskich. „ŻYCIE WARSZAWY", pismo codzienne wychodzące w Warszawie, w numerze 78 (507) z dnia 19 marca 1946 podaje następujący bilans strat bibiotek polskich z okazji zebrania Związku Bibliotekarzy Polskich w Katowicach:

„Straty bibliotek polskich z okresu wojny wynoszą 15 milionów tomów, tak że obecnie przy wzrastającym zapotrzebowaniu książek i wzroście czytelnictwa, biblioteki polskie dysponują 6 milionami książek. W związku z tym na pierwszy plan wysuwa się konieczność scentralizowania bibliotek naukowych w najważniejszych ośrodkach i przygotowania wykwalifikowanego personelu dla konserwacji książek oraz zabezpieczenia szeregu księgozbiorów.

Na ziemiach zachodnich znajduje się ponad 3,5 miliona tomów, które zostaną rozsegregowane i po wyłączeniu dużej ilości bezwartościowych książek propagandowych zasilą biblioteki już zorganizowane. Ponadto wysunięto sprawę zabezpieczenia około 1,5 miliona tomów z bibliotek podworskich i popałacowych".

Powyższy bilans strat uzupełnia obraz wyniszczenia, jakiemu uległa Polska na innych polach w czasie ostatniej wojny.

Uratowane arcydzieła malarstwa polskiego. Ukazujący się w Warszawie „KURIER CODZIENNY" z dnia 29 marca br. donosi o dokonywanych obecnie pracach konserwatorskich w Zachęcie, tak dobrze znanej nie tylko Warszawiakom, ale wszystkim niemal Polakom. W salach Zachęty znajduje się dziś „szpital" arcydzieł malarstwa polskiego, gdzie przywracane są do życia dwa znane obrazy Matejki: „Grunwald" oraz „Kazanie Skargi" oraz gdzie czekają na „leczenie" trzy dalsze arcydzieła tego malarza: „Batory", „Unia Lubelska" oraz „Rejtan". Najwięcej ucierpiał „Grunwald", który jest całkowicie popękany oraz zszarzały. Historia tych obrazów podczas ostatniej wojny obfituje w tragiczne momenty:

„Grunwald" i „Kazanie Skargi" wywiezione zostały z Warszawy 7 września 1939 roku do Lublina. Malarze, którzy stanowili eskortę tych obrazów, Stanisław Ejsmond i Surałło Gajduczeni, zginęli w czasie nalotu. Obrazy pierwotnie ukryte w Muzeum Miejskim z nadejściem Niemców schowane zostały do piwnicy Taboru Miejskiego i tam zamurowane. W ten sposób nawinięte na wałek, bez dostępu światła i powietrza, przebyły w piwnicy lat pięć, podczas gdy po całej Polsce krążyły najfantastyczniejsze wieści co do miejsca ich pobytu. Dopiero w dniu 8 sierpnia 1945 roku przybyły spowrotem do Warszawy".

Podobnie „Batory", „Rejtan" i „Unia" przechodziły wędrówkę po Polsce, w ucieczce przed barbarzyńskimi Niemcami, aż wreszcie odnalezione zostały w górskiej oberży niedaleko Jeleniej Góry przez dyrektora Lorentza, który przywiózł je do Warszawy. Uszkodzenia są znaczne, lecz konserwatorzy obiecują, że wszystkie te arcydzieła będą wyglądały zupełnie tak jak gdyby dopiero co wyszły z pracowni Matejki:

„Batory" i „Rejtan" mają poważne uszkodzenia: barbarzyńskie ręce złożyły bowiem płótna na 16 do 18 części w ten sposób, że właśnie w tych miejscach powstały załamania".

Co do „Grunwaldu", to — prócz przywrócenia mu naturalnych kolorów i pokrycia werniksem — zachodzi konieczność odnowienia płótna, podobnie

jak w innych obrazach. Pod wpływem długoletniego oddziaływania wilgoci gniło ono — tak, że obecnie trzeba będzie obrazy podkleić nowym płótnem, specjalnie na ten cel tkanym. Znalezienie tak szerokich (pięciometrowych) krosien nie należało do łatwych.

Tymczasem wokoło restauruje się i inne arcydzieła:

„Oto wspaniały tryptyk z Kolegiaty Łowickiej, dzieło z roku 1576, jaśnieje już na nowo wspaniałymi barwami. Oto rzeźba Boga Ojca polichromowana i bogato złocona, jest przedmiotem pracy dwojga artystów, którzy miejsce przy miejscu skrobią i polichromują na nowo. Oto arcydzieło Kranacha „Salome z głową św. Jana“, wywiezione przez Niemców z galerii Wilanowskiej, obecnie już odnowione i jeszcze wzbogacone, gdyż przy fotografii rentgenowskiej konserwatorzy odkryli nieznany przedtem pejzaż, służący obrazowi za tło“.

O obecnych trudnych warunkach konserwacji arcydzieł polskiego malarstwa świadczy następujący ustęp:

„Na tym nie koniec kłopotów. Gmach Zachęty nie jest niestety jeszcze dostatecznie przygotowany na kurację tak dostojnych gości. To też zdarza się, że deszcz przecieka do wewnątrz przez nieszczelne sufity i zagraża z takim trudem ratowanym obrazom. Wtedy niestrudzony ich opiekun, Bohdan Marconi, który sypia w tym gmachu, wstaje w nocy i snując się jak duch po salach, przesuwa obrazy i zakrywa je, jak czuły lekarz otula kołderką swe chore, powracające do zdrowia dzieci“.

O polską wolną myśl. Kiedy rozważamy kolejność wartości, które jako Polacy powinniśmy zachować i strzec, tak w kraju, jak i na emigracji, to na pierwszym miejscu wymienić należy niezależność myśli polskiej. Na sprawę tę zwraca uwagę nr 40 organu Związku Polaków w Belgii, „POLAK W BELGII“:

„Żyjemy w czasach, które znamionują się dwiema cechami: przewaga elementu siły w świecie między-narodowym oraz potęga sugestii narzucanej przez propagandę.

Siła jest zawsze czynnikiem, który nie tylko łamie słabszych, ale podporządkowuje ich swoim celom. Tylko ludzie mocni charakterem nie ulegają przewadze siły i umieją zachować wobec niej własną, samodzielną postawę. To samo dotyczy zespołów ludzkich, społeczeństw i narodów. Ludzie słabi, jednostki kierujące się oportunizmem życiowym, osobistą wygodą i materialnym interesem, znajdą zawsze usprawiedliwienie i wytłumaczenie, dlaczego muszą poddać się i uznać siłę, jako decydujący dla nich argument“.

„Polacy są bardzo skłonni do ulegania obcym sugestiom. Bardzo krytycznie ustosunkowani do tego, co własne, chętnie podziwiamy obcych i uznajemy ich za lepszych od nas. Pod tym względem wpadamy często w przesadę, iż jesteśmy narodem pozbawionym wszelkiej pozytywnej wartości.

Jeżeli więc utrzymanie niezależności myśli i polityki polskiej uznać należy w tej chwili za ważny postulat, to nie wydaje się to przesadą.

Jako naród jesteśmy na razie pozbawieni własnego ośrodka, któryby reprezentował naszą samodzielną myśl polską. W wyniku wydarzeń, które zaszły w ostatnich miesiącach — znajdujemy się w rozsypce. Innym sugestiom podlegają Polacy w Kraju: innym my, którzy jesteśmy poza jego granicami, przy czym działają tu na nas różne czynniki na różnych obszarach, zależnie od tego, gdzie znajdują się większe lub mniejsze skupiska polskie.

Można powiedzieć, że każdy z nas jest skazany obecnie na własny wysiłek, aby samodzielnie dojść do tego, co jest słuszne i konieczne dla naszego interesu narodowego. Łatwo zrozumieć, że w tej sytuacji trudno jest o to, aby każdy z Polaków mógł stworzyć sobie własny prawidłowy kierunek myśli, skoro wszyscy znajdujemy się pod wpływem obcych i rozbieżnych, przyjaznych i nieprzyjaznych nam wpływów. Łatwo też pojąć, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażony jest interes polski, jeżeli każdy z Polaków, lub każda z grup polskich, będzie tworzyła odmienną linię postępowania i do jak wielkich różnic doszlibyśmy szybko przy takim stanie rzeczy.

Dwa elementy są pewne: 1) że interes polski jest tylko jeden; 2) że interesu polskiego tylko my sami możemy bronić i sami go tylko zrozumieć“.

Odnowa człowieka. Świąteczny numer polskiego tygodnika religijnego we Francji, „WIERNA POLSKA“ poświęca jeden ze swoich artykułów kwestii

„nadczłowiek czy chrześcijanizm“. Autorem artykułu jest C. J. Krasiński O.S.B. Pismo stwierdza, że bankructwo idei totalistycznych, gwałcących w życiu politycznym i społecznym prawa jednostki, zmusza wszystkich trzeźwo myślących ludzi do zrewidowania sądu o do niedawna jeszcze modnej teorii „nadczłowieczeństwa“, która odpierała z nienawiścią i pogardą chrześcijanizm jako religię dla słabych i niewolników. Cnoty chrześcijańskie były według tego światopoglądu „duchową chorobą“. Idee te, zastosowane przez narodowy czy klasowy szowinizm do jednej rasy względnie partii, wydały karykaturalne hasła „Herrenvolków“, zesłanych z nieba dla uszczęśliwienia i ... wygazowania słabszych narodów:

„Niekonsekwentnie więc postępują ci spośród nas, którzy potępiają totalizm polityczny może dlatego tylko, że przypadło im w udziale stać się jego ofiarą — hołdują w swym życiu prywatnym „t o t a l i z m o w i m o r a l n e m u“, bez którego pierwszy jest nie do pomyślenia, to znaczy, że potępiając bezprawie w stosunkach między narodami, stosują sami b e z p r a w i e w s t o s u n k u d o b l i ź n i c h, o ile dogadza ono ich egoizmowi, interesowi czy zmysłowości. Jak w polityce, tak i w życiu prywatnym, mamy wtedy zamiast prawa do życia, stojącego „ponad“ dobrym i złym — prawo do użycia, a zamiast rządu — nierząd. Żyjąc wedle zasad „nadczłowieczej moralności“, wzbudzamy słuszną nieufność do siebie u tych, których pragnęliśmy wyzwolić od niewoli totalizmu. Jeżeli nie potrafimy oprzeć się pokusie i pożądliwości pychy żywota w życiu codziennym, tym mniej potrafilibyśmy oprzeć się — w życiu publicznym, gdyby danym nam było odegrać w nim rolę kierowniczą“.

Autor konkluduje, że „cnoty chrześcijańskie, jak miłość bliźniego, altruizm, pokora, nie są szkołą duchowej słabości“, a moralność nie podcina skrzydeł ludzkiego geniuszu oraz że cnotę chrześcijańskiej pokory musimy przeciwstawić chorobliwej manii wielkości, miłość bliźniego zaś i altruizm — logicznemu egoizmowi.

Podobny temat, choć z innego zupełnie punktu widzenia, porusza wychodzący od listopada 1945 roku w Warszawie miesięcznik, poświęcony zagadnieniom wiedzy i życia, „PROBLEMY“. W artykule p. t. „Na przełomie“ Stanisław Zelent pisze na temat przemian moralności społecznej w Kraju co następuje:

„Postępy demoralizacji społecznej są tak na niektórych odcinkach zastraszające, że wstydliwe przemilczanie stać się może niebawem równoznaczne z całkowitym upadkiem i zaniknięciem podstawowych, elementarnych dobrych obyczajów i cnót obywatelskich. Nic tu nam nie pomoże lekkomyślne usypianie się bohaterską i niezłomną postawą narodu — trzeba zdobyć się na odwagę, aby spojrzeć w oczy rzeczywistości...“

...„Sumienny obserwator musi stwierdzić, iż w atmosferze dnia bieżącego nie brak objawów zaprzańswa, obrzydliwego karierowiczowstwa, skrajnego zmaterializowania, tu i ówdzie panoszącego się w obyczajach zwyczajnego huligaństwa, wreszcie wypływającego z podłych, obliczonych na osobiste porachunki pobudek, anonimowego donosicielstwa. Brak dobrej woli, dobrych obyczajów, a choćby zwykłej uprzejmości jest zjawiskiem nagminnym...

Czy ktokolwiek myślący może poddać w wątpliwość fakt, że znajdujemy się na przełomie? Stoimy na progu n o w e j e p o k i. Lecz czy uświadamiamy sobie w pełni konsekwencje tego faktu?

Czujemy się znużeni i przytłoczeni — opadają nam ręce. A jednak musimy podjąć wyzwanie, bowiem nie ma dla nas drogi odwrotu. Przyszłość jest naszym przeznaczeniem. Na starcie musimy stanąć w odpowiedniej postawie.

Problem o d n o w y c z ł o w i e k a staje przed nami w całym swym potężnym majestacie.

...Musimy się podnieść, otrząsnąć się i ruszyć natychmiast w drogę. Droga jest niezwykle ciężka i pełna przeszkód, które trzeba będzie strzaskać. O d n o w a c z ł o w i e k a jest największym, najbardziej fascynującym, a zarazem najpiękniejszym i najniebezpieczniejszym zadaniem u progu n o w e j e p o k i.

T. Jaraczewski

PRZEGLĄD WYDAWNICZY

Dr FR. CEGIEŁKA: *Mistyka Ojczyzny* (Cena 40 frs., skład główny Librairie Buffin, Lille, Nord, France).

Pojawienie się kilka tygodni temu na półkach księgarskich powyższej broszury, pióra Ks. Rektora Polskiej Misji we Francji, stanowi doniosłe wydarzenie w życiu naszej emigracji. Będąc wyrazem entuzjastycznej wiary w Polskę oraz określając zaszczytną misję Polski w obecnej chwili, jest ona jakby kontynuacją tradycyj dawnej emigracji polskiej we Francji, która wydała „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego" oraz dała początek ruchowi, znanemu pod nazwą mesjanizmu. Przed z górą stu laty Wielka Emigracja we Francji, łącząc ideały patriotyzmu polskiego z ruchem religijnym, wydała spośród siebie dzieła Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich i Mochnackich. Dzisiaj, podobnie jak wtedy, położenie naszej Ojczyzny zwraca znów myślicieli w tym samym kierunku i nakazuje zgłębiać nasz stosunek do narodu oraz analizować charakter naszych uczuć patriotycznych.

Osoba autora nie potrzebuje przedstawienia i zbędnym byłoby wszelkie silenie się na określenie jego zasług, położonych dla sprawy polskiej na terenie francuskim. Będąc więźniem politycznym w Berlinie, Sackhausen a następnie i w obozie koncentracyjnym w Dachau w latach 1940—1945, kapłan ten znany nie tylko ze swej głębokiej religijności, lecz i uczuć patriotycznych, mógł przemyśleć do głębi swe poglądy na powyższy temat. Rezultatem tego jest opublikowana obecnie praca.

Broszura, choć objętościowo nie wielka, zawiera treść nadzwyczaj bogatą, której nie sposób podać, chociażby w krótkości, w ramach recenzji. Słusznie nazwana ona została „katechizmem polskiego i katolickiego nacjonalizmu".

Patriotyzm swój wyprowadza autor ze źródeł religijnych, opierając się z jednej strony na Ewangeliach i dokumentacji papieży, z drugiej na zdaniach wieszczów i poetów jak Norwid, Krasiński, Cieszkowski i t. d. Ojczyzna jest — jego zdaniem — dziełem Boga. Dlatego miłość Ojczyzny jest cnotą, mającą swe oparcie w religii. Ci, co ofiarowują swe życie za Ojczyznę, muszą być z tego powodu uznani za bohaterów narodowych oraz religijnych.

Autor dochodzi do następującej definicji „Ojczyzny": „Ojczyzna jest to społeczne wiano duchowych i materialnych dóbr oraz zobowiązań, dane nam od Boga, a przekazywane nam przez Ojców naszych w tym celu, byśmy tego wiana strzegąc i je pomnażając, mogli powiększyć nasze szczęście na ziemi". W analizie swej autor zalicza do dóbr duchowych przekonania religijne, język, obyczaje, tradycje, porządek prawny, formę państwową, dzieje narodu, literaturę oraz sztukę. Dobrami materialnymi jest ziemia ojczysta, jej skarby oraz budowle, na niej stojące. Całego tego wiana strzec musi Naród, który jest też odpowiedzialny za losy Ojczyzny.

Ponieważ każdy z nas jest członkiem Narodu z woli samego Boga, dlatego Ojczyzna jest naszym największym dobrem społecznym. Z tego powodu „kodeks społeczny" jest wyższym od kodeksu indywidualnego. Miłość Ojczyzny może wymagać większych ofiar, niż składane np. na rzecz rodziny. Interesów Ojczyzny należy bronić wszelkimi siłami, nawet jeśli występują one przeciwko chrześcijańskiemu prawu miłości, gdyż „naczelnym przykazaniem kodeksu społecznego jest przykazanie obrony życia organizmów społecznych, jakim jest Ojczyzna". Dlatego też napadający na Ojczyznę wróg nie może liczyć w myśl kodeksu społecznego na to, aby mu ktoś nadstawił drugi policzek lub oddał płaszcz, jak to pisze Ewangelia na temat stosunku jednostki do jednostki. Zasada „nikomu złem za złe nie odpłacajcie" nie może mieć w dziedzinie społeczno-politycznej żadnego zastosowania. Zwyczaje wojenne, stosowane wobec najeźdźcy czy wroga w czasie wojny, mają swe zupełne uzasadnienie według kodeksu społecznego, opierającego się na zasadach sprawiedliwości. Z drugiej strony ci, którzy porzucają Ojczyznę w nieszczęściu i nie myślą jak tylko o swych korzyściach osobistych, nie mogą „uchylić się w przyszłości od odpowiedzialności przed Bogiem".

Posłannictwem Polski było od wieków tworzenie przedmurza dla chrześcijańskiego Zachodu. W obecnych czasach zadaniem Polski jest wskazanie dzisiejszemu światu „nowych dróg prawdy i sprawiedliwości", oraz „ułatwienie rozwiązania ciężkich problemów społecznych". Dotąd rolę tę spełniała Francja, która jest jednak obecnie narodem starzejącym się. Roli tej nie weźmie na siebie dziś ani Hiszpania, ani Włochy, tylko „wielki, młody i bohaterski" Naród Polski. W tym celu musi on najpierw urządzić u siebie życie „w myśl odwiecznych planów Stwórcy", a potem rozprzestrzeniać prawdę i promieniować na inne narody Europy. Najważniejszym tytułem takiego posłannictwa Polski jest fakt, iż kraj nasz poświęcił się za Europę, a nadto posiada w miniaturze u siebie wszystkie problemy, jakie dziś trzeba będzie rozwiązać np. problem swobód obywatelskich, problem współżycia różnych narodowości, problem pracy i t. d.

Z całej broszury bije entuzjazm, który jest godny podkreślenia. I choć rzeczywistość jest dziś może bardziej niż kiedykolwiek odległa od realizacji tego posłannictwa Polski wśród narodów nie można zaprzeczyć, że w cierpieniach obozów i więzień duch Polski

wzniósł się ponad inne narody i dążyć będzie do realizacji tych haseł.

Rola i znaczenie tej broszury polega na tym, iż jest ona pokrzepieniem nieszczęśliwych i otuchą oraz nadzieją dla sceptyków i cierpiących. Stąd też należy ją powitać z jak naj większym uznaniem i oddać hołd jej autorowi za zajęte w niej stanowisko.

Dr. T. S.

Bibliografia wydawnictw w kraju

W uzupełnieniu wiadomości, jakie podaliśmy w Nr 4 „Horyzontów" o ruchu wydawniczym w Polsce, ogłaszamy dalszy spis książek wydanych przez rozmaite instytucje wydawnicze. Poniższe zestawienie nie obejmuje wszystkich pozycji i ma charakter dorywczo zebranych notatek bibliograficznych.

Poezja:

Jan Huszcza: Pamiętnik liryczny, Lublin 1945.

Mieczysław Jastrun: Godzina strzeżona, Lublin 1944.

Jerzy Putrament: Wojna i wiosna, Lublin 1944.

Adam Ważyk: Serce granatu, Lublin 1944.

Leon Pasternak: Lata powrotu.

Zbigniew Bieńkowski: Sprawa wyobraźni.

Antoni Słonimski: Wiek klęski. Wiersze z lat 1939—1945. „Pod znakiem poetów", seria trzecia. Wyd. J. Mortkowicza. Warszawa-Kraków 1945.

Witold Zechenter: Strzępy okupacji. Wiersze. Wyd. S. A. Krzyżanowski. Kraków 1945, cz. I, Strzępy okupacji 1939—1945. Cz. II. Liryka.

Maria Castellatti: Pole Mokotowskie. Sp. Wyd. „Książka", 1945.

Stanisław Jerzy Lec: Notatnik polowy.

W. Majakowski: Dobrze! Poemat październikowy. Przełożył A. Sandauer. Sp. Wyd. „Książka" 1945.

Jan Bolesław Ożóg: Kraj. Poezje. Kraków 1945. Związek Zawod. Lit. Pol.

Ewa Szelburg-Zarembina: Rybak i sosna. „Czytelnik" 1945, str. 14.

Marcin Kalinowski: Tańczące serca. „Czytelnik" 1945, str. 15.

Hanna Januszewska: O dobrym strachu. „Czytelnik" 1945, str. 15.

Baśnie i legendy dla starszych dzieci. Wyd. „Książka", Łódź 1946, zł. 90.—

Powieść:

Karol Brunsch: Dzikowy skarb. Powieść z czasów Mieszka I. Gebethner i Wolff. Warszawa 1945, 2 t.

Tadeusz Hołuj: Próba ognia. Powieść, str. 280. Sp. Wyd. „Czytelnik", zł. 140.

Henryk Sienkiewicz: W pustyni i w puszczy, str. 456. Sp. Wyd. „Czytelnik", zł. 120.

Wanda Wasilewska: Pokój na poddaszu, str. 128. Sp. Wyd. „Czytelnik", zł. 45.

Mira Wiśniewska: Marmontek z gór, opowieść górska dla młodzieży, str. 72. Sp. Wyd. „Czytelnik", zł. 60.

Jalu Kurek: Janosik. Wyd. A. Kamiński, Kraków, zł. 340.

Janina Lipska: Wczoraj. Nowele.

Jerzy Zawieyski: Droga do domu. Wyd. Eug. Kuthana.

Xenia Żytomirska: Jan i Małgorzata. Powieść. Warszawa, Eug. Kuthan, 1945, str. 223.

Władysław Rymkiewicz: Ludzie bez jutra. Powieść. Warszawa, Eug. Kuthan 1946, str. 284 i 4 nlb.

Géza Gárdonyi: Chłopska dziewczyna, Opowiadanie. Przetł. z węg. Tad. Fangrat. Poznań, Księgarnia Wł. Wilah 1945, str. 30 i 2 nlb.

Dramat:

Flora Bieńkowska: Wiosna 1944. Sztuka w 3 aktach. Łódź, „Książka", 1945.

Adam Ważyk: Stary dworek. Sztuka w 3 aktach. Łódź, „Książka", 1945.

Inne:

Jan Wiktor: Ożywcze krynice. Kraków 1946. Książnica Atlas.

Stefan Klimczak: Od Oki do Sprewy. Montaż literacki. „Książka", Łódź 1945.

Wiech: Wiadomo, Stolica.

Jan Kott: Mitologia i realizm. Szkice literackie. Sp. Wyd. „Czytelnik".

Stefan Matuszewski: Na progu wolności. Nakładem spółdzielni socjalistycznej „Wiedza". Warszawa-Łódź-Kraków, 1945.

Chłop polski w dziejach i literaturze. Teksty i dokumenty. Łódź 1945. Państw. Zakłady Wyd. Szkolnych.

Ku lepszej przyszłości. Czytanki polskie dla starszej młodzieży szkół powszechnych i kursów dla dorosłych. Zestawili H. Schipper i T. Wojeński. Państw. Zakł. Wyd. Szk. Warszawa-Katowice, 1945.

Prof. Zygmunt Wojciechowski; Polska-Niemcy. Dziesięć wieków zmagania. Wyd. Inst. Zachodniego „Poznań" 1945, str. 320.

Maksymilian Borowicz: Uniwersytet zbirów. Wyd. Woj. Zyd. Kom. Hist. Nr 3 z 11 ilustr. str. 107, Kraków 1946.

Tad. Kościuszko: Wskazania obywatelskie. Wybrał... prof. dr H. Mościcki. „Czytelnik" 1946, str. 31.

Helena Bobińska: Maria Curie-Skłodowska. „Czytelnik", str. 63.

ARS POLONICA

Pod tym tytułem rozpoczyna miesięcznik »Horyzonty« serię wydawnictw z dziedziny historii sztuki polskiej.

W czerwcu br. ukaże się pierwszy tom, stanowiący zamkniętą w sobie całość. Obejmuje on polską grafikę nowoczesną, uzupełnioną krótkim szkicem historycznym. Zawiera około 70 stron druku na papierze ilustracyjnym oraz 30 reprodukcji dzieł najwybitniejszych grafików polskich, zamieszczanych dotychczas w zeszytach »Horyzontów«. Tekst, napisany zajmująco i przystępnie, opracowany jest w języku francuskim, niemieckim i polskim. Książka ta ma bowiem na celu zapoznanie czytelnika cudzoziemskiego z tak ważnym i ciekawym działem sztuki polskiej.

Stanowi ona jedyną publikację tego rodzaju od roku 1939.

Tytuły rozdziałów:

I. Historyczny rozwój polskiej grafiki.
II. Podstawowe elementy nowszej polskiej grafiki.
III. Drzeworyt i miedzioryt.
IV. Akwaforta.
V. Litografia.
VI. »Granice« polskiej grafiki.

ARS POLONICA nabyć można przez subskrypcję do dnia 1 lipca 1946 w cenie 4,50 Fr. szwajc., wpłacając na nasze konto pocztowe powyższą sumę z zaznaczeniem na odcinku dokładnego adresu oraz ilości egzemplarzy.

Nadmieniamy, że po terminie 1 lipca 1946 **ARS POLONICA** będzie do nabycia we wszystkich księgarniach w Szwajcarii w cenie 6,00 Fr. szwajc.

Adres Redakcji: Fribourg, Case postale 247, Suisse, Tél. 21892 — Konto czekowe IIa 3219.
V. Troller — HORYZONTY, Fribourg.

Wpłaty zagraniczne: przez bank w miejscu zamieszkania z poleceniem przesłania dla: Schweizerische Volksbank, Solothurn, Schweiz.

Editeur: Vérène Troller. *Redaktor:* Eugeniusz Lukas. *Administracja:* Marian Respond.

 Drukarnia Vogt-Schild S. A., Soleure, Suisse.
Klisze w wykonaniu Zakładów Graficznych Pfisterer S. A. Balderstrasse 30, Bern, Suisse.

Prenumerata w Szwajcarii: rocznie 12 Frs., półrocznie 7 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.20 Frs.
Prenumerata za granicą: rocznie 15 Frs., półrocznie 9 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.50 Frs.

Cena: Prix: **1.20 Frs.** Za granicą: A l'étranger: **1.50 Frs.**